

NOWY GWÓŹDZ PROGRAMU

| styczeń | luty | 2010 |

Magazyn Studencki Niezależnego Zrzeszenia Studentów

Orientuj się!

Ano InO

kariera

ZAWÓD: ŻOŁNIERZ

KATOWICKI KOŁOS

... o Superjednostce

ZUPA Z GWOŹDZIA

Tajemnice studenckiej kuchni

HOTEL LYNCH

Studenci podróżują!

ROSJA CHINY

OKFS PSTRYKALIADA 2010

Już po raz dwunasty odbędzie się Ogólnopolski Konkurs Fotografii Studenckiej wraz z wydarzeniami towarzyszącymi, czyli Pstrykaliadą. W tym czasie w dwunastu miastach Polski będą miały miejsce wystawy nadesłanych prac, warsztaty oraz wykłady prowadzone przez osoby związane z fotografią.

Celem projektu jest promowanie fotografii oraz studentów interesujących się fotografią. W konkursie może wziąć udział każdy student, niezależnie od tego, czy jest profesjonalistą, czy amatorem.

W tej edycji OKFS, konkursowe kategorie to:

- Spowiedź fotografa
- Białe na białym
- Architektura

Werdykt profesjonalnego jury, które wybierze najlepsze zdjęcia, poznamy 23 marca 2010 roku na uroczystej gali w Warszawie.

Harmonogram OKFS Pstrykaliada 2010

- 05/03/2010 - termin nadsyłania zdjęć
- 08-12/03/2010 - Pstrykaliada w uczelniach w całym kraju
- 22-26/03/2010 - Pstrykaliada w SGH w Warszawie
- 23/03/2010 - Gala Finałowa w Warszawie
- 29/03 - 23/04/2010 - wystawy w warszawskich uczelniach



Kulturalny	Miłość, krew... i Templariusze	Bogdan Koziara	3
	I ślubuję Ci... śmierć	Piotr Pochel	4
	Hotel Lynch	Hanna Kostrzewska	5
W krzywym zwierciadle Z przymrużeniem oka Reportaż Felieton	Każdy swój krzyż nosi	Roksana Nowak	6
	Bananowa rewolucja	Weronika Sieroń	7
	Nie tylko nudni i w okularach	Aleksander Roj	8-9
	Wspólny interes własny	Michał Mierzwa	10
	Nad trybem dumanie niespokojnej duszy, złośliwością okraszone	Adam Marcisz	11
	Być jak amerykański luzak czy szwajcarski zegarek?	Monika Steblik	12
	Zawód - Żołnierz	Magdalena Cieślak	17
	Studenci podróżują - My AIESEC Experience	Ania Prasełek	18
	Taka no... chińszczyzna	Anna Ślęczkowska	19
	Moskwa - kocham i nienawidzę	Agnieszka Grenke	20-21
Kariera Komu w drogę Aktywnie Społeczny	Ano InO	Natalia Simenka	22-23
	O alkoholu inaczej niż zwykle	Mariusz Tomala	24
	Singiel też człowiek, czyli...	Paulina Patrylak	25
	Wstyd czy duma?	Paulina Patrylak	26-27
	Zupa z Gwoździa	Jan Frejowski Mistrzowskie Kulinaria Studenckie	28
W mieście Relaks			

**Ogólnopolski Magazyn Studencki
Niezależnego Zrzeszenia Studentów**

www.ngp.ae.katowice.pl

wydawca:

Niezależne Zrzeszenie Studentów
Akademii Ekonomicznej w Katowicach
e-mail: nzs@ae.katowice.pl

redaktor naczelny:

Dagmara Simenka

z-ca redaktora:

Nina Bocheńska

redaktor prowadzący:

Dagmara Simenka

redakcja:

Mariusz Tomala, Monika Steblik, Aleksander Roj, Roksana Nowak,
Agnieszka Grenke, Piotr Pochel, Paulina Patrylak, Magdalena Sówka,
Hanna Kostrzewska, Weronika Sieroń, Adam Marcisz, Anna Ślęczkowska,
Magdalena Cieślak, Natalia Simenka, Michał Mierzwa, Alicja Leś,
Bogdan Koziara, Kasia Kuźmicka, Jan Frejowski

współpraca:

Monika Stencel, Anna Prasełek, Marzena Czaplik

korekta:

Katarzyna Kuźmicka

skład i opracowanie graficzne:

Agnieszka Kotulska, Paweł «PAWOŁ» Palarczyk

projekt okładki:

Agnieszka Kotulska

marketing i reklama:

Nina Bocheńska, Anna Adamus, Izabela Bujok

kolportaż:

Katarzyna Budzisz

druk:

DRUKAT Sp. z o.o.
ul. Mikołowska 100a
40-065 Katowice

adres redakcji:

ul. 1 Maja 50,
40-287 Katowice
tel./fax.: (0 32) 257 72 19
e-mail: ngp.redakcja@gmail.com

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i nie zwraca materiałów nie zamówionych.
Zastrzega sobie prawo do skracania i adjustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów.
Opinie zawarte w artykułach nie muszą być zgodne z poglądami Redakcji.
Zamieszczone grafiki pochodzą z Internetu bądź zbiorów redakcji.



Puff!!! Z siłą korka wystrzelającego z szampana, wskoczyliśmy w Nowy, Okrągły Rok.

Czy ilość smacznych bąbelków połączonych sylwestrową nocą, miała wpływ na nasze noworoczne postanowienia?

Czy im więcej kieliszków przechylamy, tym śmielsze są nasze obietnice?



Znów to robimy. Obiecujemy sobie zmiany. Oczywiście na lepsze, bo jak inaczej? Przecież to Nowy Rok, czyste konto, wszystko można zacząć od początku, jeszcze raz. „Tym razem się uda! Wiem to.” Słodka ułuda lub... zguba. Mimo to, warto postawić sobie przełomowy cel (nie

ważne, że od kilku dobrych lat jest dokładnie taki sam.) Zanim trafisz w dziesiątkę, oddasz setkę spudłowanych strzałów. Ale każdy z nich będzie nową nauką. A i samo strzelanie jest niezłą frajdą.

Czego życzę Nowemu Gwóździowi Programu? Żeby miał bogate wnętrze, trafił w nowe miejsca i.. nigdy się nie zamykał. W tym numerze przeczytacie m.in. o urokach Chin i zaskakującej Moskwie, sprawdźcie jak zaczyna się przygodę z szachami oraz poznać przepis na kulinarny przysmak, w sam raz na studencką kieszeń.

Życzę Wam zaczytania i samych czarów w Nowym Roku, a Redakcji niekończących się pomysłów!

Dagmara Simenka
Redaktor Naczelna

|waszym zdaniem|

Drodzy Czytelnicy i Redakcjo,

Ostatnio w mediach oraz na uczelniach toczy się rozmowa na temat zaproponowanych zmian do ustawy o szkolnictwie wyższym przez Ministerstwo. Według projektu, studiowanie na drugim kierunku powinno być płatne. Przyznam szczerze, że jestem poirytowana całą sytuacją. W mediach ciągle słyszę, że jest to pierwszy krok do wprowadzenia płatnych studiów w Polsce, jednak chyba większość dziennikarzy nie wie, jakie są realia życia studenckiego. Żeby było jasne – nie jestem za tym, aby studia w Polsce były całkowicie płatne. Wielu z moich znajomych podejmuje drugi kierunek tylko dla papierka i tak naprawdę często w tej sytuacji przepisywanie ocen staje ponad chęcią zdobywania wiedzy. Rozumiem i jestem pełna uznania dla tych, którzy się przykładają do obydwu kierunków, jednak to żenujące, że studenci, którzy, powiedzmy szczerze, przez swoje lenistwo ledwo radzą sobie z jedną sesją, podejmują drugi kierunek. W regulaminie mojej uczelni jest martwy zapis: „Dziekan może wyrazić zgodę na studia na innym kierunku studiów pod warunkiem, że student osiągnął na kierunku podstawowym skumulowaną średnią ważoną nie niższą niż 4,0.” Zgadza się z faktem, że na studiach średnia nie jest doskonałym miernikiem wiedzy, ale czy ten zapis nie powinien nam czegoś sugerować? Osobiście, coraz częściej zastanawiam się, czy sami nie tworzymy sobie wyścigu szczurów... Być może pracodawca spojrzy na moje CV i powie:

„Jeden fakultet – była Pani leniwa. – Teraz jest tyle osób z kilkoma kierunkami”, a nie uważam się za osobę mało ambitną i niepracowitą. Po prostu wolę być specjalistą w jednej dziedzinie i spełniać się w organizacji studenckiej, pogłębiać swoją wiedzę przez szkolenia i czytanie – niekoniecznie podręczników akademickich. Dlaczego przez to mam być traktowana gorzej? Myślę, że wprowadzenie opłaty za drugi kierunek może zawęzić tę patologiczną sytuację, a dla tych, którzy są ambitni i zdolni, państwo powinno wprowadzić stypendia, które pozwoliłyby im na podjęcie drugiego kierunku.

Drodzy studenci, apeluję do Was! Zastanówcie się, czy chcecie żeby studia były dla Was tylko ładnym wpisem do CV, czy naprawdę chcecie coś z nich wynieść. Wiem, czasem uczelnie ładują nam do głowy tylko teoretyczne zagadnienia, ale chyba za często jesteśmy temu bierni.

Zaangażowana Studentka

P.S. Pozdrawiam tych, co są na studiach z zamiłowania do wiedzy.

NAPISZ DO NAS!

Na pewno jest coś, co Cię wkurza... na uczelni, imprezie, w pracy...

A może po prostu chcesz się z nami podzielić jakąś myślą, spostrzeżeniem..?

Przelej emocje na papier i napisz do Redakcji „Gwóździa”!

Listy ślijcie na adres:
ngp.redakcja@gmail.com

Najciekawsze listy zostaną nagrodzone oraz opublikowane na łamach naszego magazynu!



I TEMPLARIUSZE

Bogdan Koziara



„Templariusze. Miłość i krew” to kolejna, po nie tak dawnej premierze filmu „Millenium: Mężczyźni, którzy nienawidzą kobiet”, pozycja skandynawskiej kinematografii, pojawiająca się w naszych kinach. Dodatkowo najdroższa, gdyż wyłożono na nią aż trzydzieści milionów dolarów. Oparta została na dwóch pierwszych tomach trylogii „Krzyżowcy”, popularnego, szwedzkiego

pisarza Jana Guillou. Sam, szczerze mówiąc, nigdy wcześniej o nim nie słyszałem, a to już nie pierwsza ekranizacja jego powieści. Pierwszym filmem opartym na twórczości tego autora było nominowane do Oscara „Zło”. I może najnowsza produkcja Petera Flintha nie pójdzie w ślady tamtego obrazu, ale na pewno skłoniła mnie do sięgnięcia w najbliższej przyszłości po wcześniej wymienioną trylogię.

Obraz opowiada historię Arna Magnussona, syna wysoko postawionego szlachcica, należącego do rodu Falkungów – jednego z trzech najważniejszych w tamtym regionie. Poznajemy go, kiedy jest jeszcze małym chłopcem. W tym samym czasie dowiadujemy się o królewskich planach mobilizacji wojska przeciw niebezpiecznemu wrogowi, jakim stał się ród Sverkerów. Król, poparty przez Falkungów, wpada jednak w zasadzkę i zostaje zamordowany, a jego syn Knut, przy pomocy ojca Arna, zostaje wysłany do przyjaciół w Norwegii, aby w przyszłości mógł wrócić i z Bożą pomocą odzyskać tron. Na jakiś czas sytuacja w kraju się uspokaja, ale za to tragicznemu w skutkach wypadkowi ulega Arn. Od bliskiej śmierci ratują go moi rodzicowie i boska łaska. Obiecany służbie Bogu trafia do klasztoru, gdzie uczy się i szkoli w walce pod okiem mnichów. Osiągnąwszy dojrzały wiek, zostaje odesłany do wioski. W międzyczasie poznaje piękną Cecilie, z którą potoczy go prawdziwa miłość, i z powodu której zostanie zesłany do Ziemi Świętej.

Wbrew tytułowi film nie skupia się na templariuszach i wojnach krzyżowych. Trochę to dziwi, gdyż w zasadzie cały drugi tom powieści opisuje pobyt Arna w Ziemi Świętej. Z tego też powodu poczułem się trochę zawiedziony. Liczyłem, że będzie mi dane zobaczyć obraz choć trochę zbliżony do „Królestwa Niebieskiego” (w moim przekonaniu jednego z najlepszych filmów o tematyce wypraw krzyżowych i walkach w obronie Jerozolimy). Historia skupia się jednak na wydarzeniach mających miejsce w Szwecji, gdzie bohater dorasta, zakochuje się i popada w tarapaty. I nawet, jeśli nie tego oczekiwałem, to muszę przyznać, że fabuła wciągnęła mnie na tyle, by zapożyczyć na literacki pierwowzór. Wracając jeszcze do tytułu, nie mogę powiedzieć, że jest błędny, gdyż druga jego część, „Miłość i krew”, nie kłamie i faktycznie dobrze oddaje filmowe realia.

Obraz trwa ponad dwie godziny, co niestety daje się odczuć, szczególnie przez trochę nudny początek. Z czasem jednak losy głównych bohaterów na tyle wciągają widza, że nieprzyjemne uczucie wydłużającego się czasu zupełnie znika. I w zasadzie poza samym początkiem nie bardzo jest się do czego przyczepić. Aktorzy spisali się bardzo poprawnie. Powiedziałbym, że nawet zadowalająco. Ścieżka dźwiękowa filmu nie jest jakoś szczególnie wyrazista, ale dobrze komponuje się z pozostałymi elementami obrazu. Całość jest spójna i przedstawiona w bardzo prosty, przystępny sposób, co uznam za atut, gdyż niewiele już powstaje takich produkcji.

Krótko mówiąc, mimo że obraz trochę zaskoczył mnie swoją tematyką, bardzo przypadł mi do gustu. I dziwi mnie tylko, dlaczego musieliśmy na ten film czekać prawie dwa lata (premiery światowa: 17.12.2007, polska: 25.12.2009). Ale dystrybucja w naszym kraju często pomija różne perełki, więc pozostaje się chyba cieszyć, że „Templariusze. Miłość i krew” w ogóle pojawia się na ekranach polskich kin, i pozostaje mieć nadzieję, że na kolejną część przysługę Arna („Arn: The Kingdom at Road's End”), opartą na ostatnim tomie trylogii, nie będzie nam dane czekać tak długo.

Więcej recenzji na www.filmosfera.pl

filmosfera

I ŚLUBUJĘ CI... ŚMIERĆ

Ktoś może pomyśleć, że taki sposób tekstowego przekształcenia przysięgi małżeńskiej może być co najmniej dziwny. Nikt jednak wykluczyć nie może takiego jej funkcjonowania, tym bardziej, jeśli idzie o literaturę. I to jaką literaturę!

Piotr Pochel



Polska i światowa literatura zna motyw śmierci. Nie jest on obcy ani zaskakujący, jeśli rzecz dotyczy samego występowania. Inaczej sprawa wygląda, gdy ten utarty motyw ukazany zostaje w sposób nowy i odkrywczy. Wiele razy spotkałem się z nim w literaturze. Popyt na śmierć

w każdej epoce był inny: raz wielki, innym razem mały, bądź w ogóle niezauważalny. Jedno jest pewne: śmierć zawsze interesowała ludzi. Nie sądzę, żeby motyw ten wyczerpał się. Uniwersalizacja śmierci jest na tyle potężna, że nie zniknie z pola fascynacji. Wręcz przeciwnie: ukazywana będzie w różnych ujęciach – jak robione jest to do dziś.

Śmierć w wiekach średnich

Wystarczy przywołać utwór staropolski „Rozmowę Mistrza Polikarpa ze Śmiercią”. Śmierć przychodzi do Mistrza Polikarpa porozmawiać. Tym samym ukazuje się przed nim Jej swoje oblicze: „Chuda, blada, żółte lice / leści się, jako miednica; / upadł ci jej koniec nosa, / z oczu płynie krwawa rosa; / przewięzała głowę chustą, / [...] / nie było warg u jej gęby, / poziewając skrzyta zęby”. Śmierć była odrażająca, ohydna. Ale właśnie swoim wyglądem przyciągała uwagę. Brzydota odgrywa tu istotną rolę. Ona nie selekcjonuje wybrańców. Nie jest ważne dla Niej żadne kryterium. To Ona stoi „nad” człowiekiem. Człowiek jest bezradny wobec Jej wyroków. Pasywnie przyjmuje narzucone stanowisko. Średniowiecze urodziło jeszcze słynne „danse macabre” – taniec śmierci. Przedstawiano tańczącą Śmierć z ludźmi różnych stanów: od papieża począwszy, skończywszy na odrażających i brudnych żebrakach. Raz jeszcze zaciera się podział klas: wobec Śmierci każdy jest równy, nie ma gorszych ani lepszych. Nie ma przed nią ucieczki. To Ona rozdaje karty, trzymając jednocześnie najwyższą z nich... w rękawie.

Barokowe „vanitas”

Któż nie zna hasła: „Vanitas vanitatum et omnia vanitas”? Życie jest marnością, kruchym elementem całości świata ziemskiego podatnym na degradację. Człowiek jest tylko po to, żeby – jak pisał Daniel Naborowski w wierszu

„Krótkość żywota” – przyjąć „nieboszczka imienia”, zaś samo jego życie to tylko „Dźwięk, cień, dym, wiatr, błysk, głos, punkt”. Śmierć zawsze czuwa nad człowiekiem. Podobnie jak w średniowieczu, tak samo w baroku ukazywana jako ta, przed którą nie można się uchronić.

Motyw ten nie tylko wykorzystywała literatura, ale również barokowe malarstwo. Wspomnieć można tu obraz Fransa Halsa zatytułowany „Młodzieniec trzymający czaszkę”. Ta, wynikająca z obrazu, nierozłączność ludzkiego życia i śmierci; to ciągle przypominanie,

że od niej zależy ludzka egzystencja – prowadzi do jednego wniosku: motywu „vanitas”, motywu marności, kruchości życia ludzkiego. Indywidualizm zostaje wrzucone w wir własnego życia, w którym rządzą prawa śmierci. Ona nadaje wszystkiemu bieg, a człowiek odgrywa tu tylko swoją niewielką rolę.

„Srebrne i czarne” Jana Lechonia

To chyba najsmutniejszy z wszystkich tomików wierszy Leszka Serafinowicza. Zbiór liryków, który aż pachnie śmiercią. Brakuje tu optymizmu, dominuje smutek, dążenie do umiłowania Śmierci i chęć spełnienia się w Jej ramionach. Okazuje się, że oprócz miłości można ślubować także śmierć. Odwrotność przysięgi w lirykach poety jak najbardziej się sprawdza i znajduje swoje uzasadnienie. Śmierć ma stać się jedyną kochanką i wyzwoleniem spod jarzma ciężkiego życia. W „Srebrnym i czarnym” podmiot liryczny zmagą się sam ze sobą. Walczy o miłość, a nieświadomie walczy o śmierć, dającą miłość romantyczną – czystą i krystaliczną, mogącą się dopełnić do końca i ostatecznie. Tutaj życie jest oczekiwaniem na śmierć. Pragnieniem mającym moc zbawczą. Egzystencja traci swój wydźwięk, staje się barokowym „vanitas”.

Strach przed umieraniem

Śmierć od wieków była kojarzona z czymś złym, przynoszącym nieszczęście. Nikomu nie udało się jej oszukać, ani wymknąć się spod jej płaszcza. Traktuje każdego na tym samym poziomie (rzecz dotyczy średniowiecznych stanów, dziś: klas społecznych). Samo jej przywołanie powoduje, że jednostka zaczyna zastanawiać się nad swoim życiem. Zaczyna analizować je, szukać błędów, by godnie odejść w inny wymiar. Śmierć w literaturze i innych sztukach przez wieki fascynowała i była ukazywana w różnych ujęciach. Pomimo swej okropności, zachwycała. Na zawsze jednak pozostanie nieodkrytą zagadką, sprawczynią wielu pytań zadawanych przez ludzkość.

HOTEL „LYNCH”

| kulturalny / wystawa |

Młodzi śląscy artyści tworzący Grupę Landszaft, zainspirowani twórczością Lynch’a, stworzyli prezentację swoich prac zatytułowaną „Hotel Landszaft”. Obie wystawy – zarówno Davida Lynch’a, jak i Grupy Landszaft do 5 stycznia można było oglądać w katowickim Rondzie Sztuki.

Hanna Kostrzevska



Prace autorstwa reżysera są formą podróży do początku. Lynch swoją artystyczną działalność zaczynał bowiem od malarstwa i animacji. Litografie tworzył w czasie studiów. Kilka lat temu powrócił do tej formy grafiki, czego wynikiem jest m.in. katowicka wystawa. Choć sam reżyser oddziela malarstwo i fotografię od sztuki filmowej, trudno nie doszukiwać się w prezentowanych pracach specyficznego klimatu lynchowskich filmów. Prace, mimo iż zróżnicowane, łączą pewien ekscytujący niepokój, wpływający na percepcję i czyniący ją znacznie bardziej interesującą. Fotografie przedstawiające wycinki industrialnych zabudowań, czy przetworzone komputerowo dziewiętnastowieczne kobiece akty wywołujące konsternację czy zdziwienie, pobudzają odbiorców do aktywniejszego odbioru. Przemierzając wśród animacji zamkniętych w fotografii, czy też zniekształconych postaci wyłaniających się z litografii, czujemy się jak w dziwnym śnie, w którym niczego nie możemy przewidzieć. Lynch projektuje dla nas świat pozornie spokojny, który w swej nieruchomości jest osobliwie niepewny, szalony. Świat, w którym kobiece ciała wyginają się i mutują, zmieniając swoje klasyczne sylwetki w nierealne konstrukcje, których budulcem jest ludzkie (czy ciągle ludzkie?) ciało. Świat, w którym w ciemności wyłaniają się postaci i przedmioty odrealnione, a jednak niepokojąco znajome. Świat, w którym budynki fabryk rozpadać się tworzą nową, quasi-sakralną jakość. Świat magiczny w swojej dziwności.

Niepokój i zauroczenie nie opuszczały odwiedzających Rondo Sztuki. Wystawa Grupy Landszaft, mieszcząca się w Galerii+, bazując na estetyce i tematyce filmowych dzieł Lynch’a, zaprasza odbiorców do niezwykłych, klaustrofobicznych przestrzeni. Poszczególne pokoje tytułowego „Hotelu Landszaft” to swego rodzaju metawizje lynchowskich projekcji. Wykorzystując różne techniki, od malarstwa, przez instalacje do technik wideo, młodzi artyści pokazują własne wizje światów reżysera. Wizje nie mniej interesujące od źródeł inspiracji. Pokoje połączone charakterystycznym klimatem, na różne sposoby zreinterpretują lynchowskie kadry. Pokój Agaty Raweckiej wypełnia malarska wizja, ogarniająca przestrzeń i odwiedzające ją

osoby. Pokój Gosi Kulik i Łukasza Rzytki to rejestracja elementów utrwalonych w rzeczywistości, a jednocześnie ją przełamujących. Sensacyjnej fabule rysunków towarzyszą skatalogowane przedmioty, które zdają się uciekać poza ramy, jakie nadaje im kultura. Piotr Herla umieszcza motywy z filmów Lynch’a w śląskim otoczeniu. Raz literalnie, raz symbolicznie lynchowskie kadry lądują w świecie naszego regionu. Pokój Marka Rachwałika to fantastyczna wizja alternatywnego świata, który zadziwia nierealnością i barwami. Praca Marty Abramowicz łącząc techniki zadziwia i wywołuje odczucie niepokoju. Ślady krwi, projekcja zanurzonej w wannie postaci i skrawki prasowych nagłówków na ścianach tworzą klimat zagadki zbrodni, która póki co pozostanie nierozwiązana. Pokój Ronnie’ego Deelena zapewnia odwiedzającym nie tylko możliwość oglądania, ale też bycia oglądanym. Instalacja kreuje zamknięty, budzący lęk świat śledzonych, będących jednocześnie śledzącymi. Piotr Ceglarek zaprasza odwiedzających do bezpośredniego udziału w hotelowej prezentacji. Wkraczając do jego przestrzeni zostajemy automatycznie umieszczeni w projekcji prezentującej jeden z pokoi „Miasteczka Twin Peaks”. Interaktywna instalacja wciąga – dosłownie i w przenośni. Hotel Grupy Landszaft jest interesujący nie tylko ze względu na wielość technik, pomysłów i artystycznych wizji, ale także przez wzgląd na aranżację i spójność całości projektu.

Wystawy prezentowane w Rondzie Sztuki to forma podróży do świata Davida Lynch’a. Dzięki twórczości reżysera i twórczości zainspirowanej jego artystycznymi działaniami mamy okazję zanurzyć się w niezwykłym lynchowskim klimacie. Przez chwilę mówić językiem reżysera. Na moment śnić jego sny.

fol. Krzysztof Komander

Każdy swój krzyż nosi

Roksana Nowak



Europejski Trybunał Praw Człowieka stwierdził, że we włoskiej klasie krzyż wisieć nie powinien. Nasi rodacy chcą, aby krzyż został prawnie chronionym symbolem Unii Europejskiej. Ja chcę, by mój krzyż przestał mnie boleć (aczkolwiek, czy

to jest krzyż, czy biodro – to nie mam pewności). Wydaje mi się jednak, że nie tylko ja mam problemy z rozróżnianiem części ciała. Kojarząc UE z pieniędzmi, których i tak nie umiemy wykorzystać (bo nas na nie stać) zapominamy, że w Europie nie jesteśmy sami. Z innych kontynentów znamy tylko Wujcia Sama. Ale spokojnie, o Polsce nikt nic nie wie, tylko jeden reżyser sypia z nastolatkami. Od orzeczenia ETPC mam wrażenie, że za każdym razem, kiedy zaglądam do gazety codziennej, jestem zmuszana do czytania o tym, czy w polskich szkołach krzyż wisieć powinien, czy też nie. Zamiast krzyża widzę twarz Romana Giertycha (jakoś sobie z tym radzę) i utwierdzam się w przekonaniu, że Polska jest jedną wielką parodią. Sprzeczkę postanki Senyszyn i pośła Cymańskiego przestają bawić, a zaczynają frustrować.

Polska dla katolików

Według danych z 2002 roku 95,66% ludności Polski to katolicy. Ilu byłoby katolików, gdyby wprowadzić podatek kościelny, nie wiem. Nie powinno mieć to jednak znaczenia w państwie uważającym się za kraj na (pewnym) poziomie. „Władze publiczne w Rzeczypospolitej Polskiej zachowują bezstronność w sprawach przekonań religijnych” - Konstytucja RP z 2 kwietnia 1997, art. 25. p.2. Może w naszym kraju nadszedł już czas na poważną debatę na temat laicyzacji?

Krzyż a odpadający tynk

Ta strona nie powinna być poświęcona na mrzonki, więc wracam do kwestii polskich klas. Nie spodziewałam się, że z tak, wydawałoby się, błahej sprawy, można zrobić taką aferę. Przez dwanaście lat edukacji na krzyż zwracałam uwagę tylko podczas modlitwy (klepania pacierza) na lekcjach religii. Jednocześnie byłam bardziej uduchowiona od dzisiejszych uczniów szkół podstawowych, którzy lubią pomodlić się przed klasówką do krzyża wiszącego w klasie. Zawsze myślałam, że Boga nosimy w sobie. Możliwe też, że uczyłam się lepiej niż obecni dziesięciolatek. Dobrze by było, gdyby w każdej szkole była kaplica. Świetną sprawą byłaby msza rano o powodzenie na sprawdzianach, a po południu wypada ładnie podziękować Boży za piątki i szóstkę. W dniu wywiadówek można wprowadzić mszę ekstra, bo rodzice mogą być zdenerwowani, że Jaś popchnął Małgosię w trakcie Komunii Świętej.

Nic co ludzkie...

W czasach, kiedy nie potrzebujemy paszportu, żeby znaleźć się tysiąc kilometrów od domu, fajnie jest zdawać sobie sprawę z tego, że Polacy nie są jedynym narodem na świecie, a katolicyzm jedyną religią. Wszyscy wywodzą się od małpy, a wszystkie religie to sekty. A jeśli dalej nie będziemy zwracać uwagi na mniejszości – świat będzie stał w miejscu. O ile w ogóle będzie miało co na nim istnieć. Po dwudziestu latach wolności można zapomnieć o Wielkim Kościele i zadać sobie pytanie, czy chcemy czuwać pod krzyżem, który w każdej chwili może spaść na podłogę z wielkim hukiem czy też wolimy już teraz zapewnić mu spokój tam, gdzie jego miejsce. Jeśli za czymś nie powiewa sztandar nienawiści, jest to mile widziane na całym globie. (Przyjmując, że rasiści, szowiniści i inni negatywni-ści właśnie śpiewają pod przysznice).

Bananowa Rewolucja

— Droga Pani... Czy zdaje sobie Pani sprawę, iż o to stanowisko ubiega się dokładnie 49 kandydatów płci męskiej, a pośród kilogramów makulatury zaśmiecającej moje biurko, mam tylko jedno kobiece CV? Proszę powiedzieć, dlaczego miałbym wybrać właśnie Panią?

Weronika Sieroń



— Otóż, drogi Panie... nie powiem Panu, że niegdyś pracowałam w nocnym klubie. Nie powiem Panu, że doskonale widzę, w którym kierunku wędruje teraz pański wzrok. I tak, drogi Panie, 90 x 60 x 90 - sztuka idealna. Och, ależ proszę się nie czerwienić, w końcu jest Pan tylko mężczyzną! Faceci już tacy są.... Bo

widzi Pan, faceci są jak dzieci. Popłaczą, pomarudzą i już tulą się do kobiecej piersi. Życie mężczyzny to trochę takie science-fiction.

Są jak te „dzieci kukurydzy” – ślepe, strachliwe, po omacku błądzące we mgle. Ale jak już coś w tej mgle wymacają to koniec! Ósmy obcy pasażer Nostromo na następnych 9 miesięcy!

Och, Drogi Panie, proszę się tak nie obruszać! Mówi się, że kobiety są z Wenus, a mężczyźni z Marsa. Jednak i tak wszystko krąży wokół Słońca. Wydawałoby się – równo-uprawnienie. Jednak widzi Pan, to Wenus jest najjaśniejszym – po Słońcu i Księżycu – obiektem na niebie. Dlatego co tu dużo mówić – kobiety dodają życiu blasku! Jednak ciągle istnieje ten stereotyp stawiający kobietę na tym niższym szczeblu społecznej drabinki.. Nie? To chociażby kwestia nazwiska. Dlaczego po ślubie to kobieta przejmuje nazwisko męża? Niektóre owszem, ratują się myślnikiem, sądząc chyba, że tą małą kresczką zwojują świat. Efekt zerowy, jedynie miejsca na pieczętce brak.

Bo widzi Pan, wszystko to tak naprawdę kwestia biologii. XX, XY – mężczyźni są po prostu wybrakowani. Owszem, możemy jedynie przypuszczać, gdzie zaimplantowała się ta brakująca kresczka...Och, ależ Drogi Panie! Oczywiście, że chodziło mi o ten myślnik pomiędzy nazwiskami żony! Ale właśnie do tego zmierzam...Wam wszystko kojarzy się z jednym. Życie mężczyzny ogranicza się jedynie do zaspokajania potrzeb. Bo widzi Pan, kobieta to zupełnie co innego. Kobieta, mój Panie, jest jak niedokończony rozdział, niedomknięta brama, rozdarte wrota, otwarte drzwi. Oj tak, wiem, zaraz mi Pan powie, że nie należy stać w przeciagu, bo to takie niezdrowe. A widzi Pan i tu paradoks

– bo każdy mężczyzna sam sobie szkodzi. Nie? A co powie Pan o nieodłącznym towarzyszu życia każdego faceta – alkoholu? Jak Wy to mówicie? „Nie ma szpetnych kobiet, tylko czasem wina brak”? A widzi Pan, to dopiero fenomen, bo morza brzydkich mężczyzn, to nawet ocean wódki nie zaleje!! Ach, te trunki... Wie Pan, jeżeli Julia była na tyle głupia, żeby wypić dla Romeo fałszywą truciznę, to widocznie nie zasłużyła sobie na taki los.

Widzi Pan, różnic pomiędzy psychiką kobiet a mężczyzn można doszukać się nie tylko w biologii. Wystarczy sięgnąć do źródeł historii lub literatury. Choćby taki klasyk jak „Iliada”. „Jak winić Trojan i w pięknych nagolennikach Achajów, za to, że tak długo tę wojnę znoszą, dla takiej kobiety, co nieśmiertelnym boginiom pięknnością jest równa!”. I widzi Pan, wychodzi ten męski szowinizm! Bo gdyby tak Helenka była nieco mniej urodziwa, to wojna skończyłaby się szybciej niż zaczęła! Choć z drugiej strony, gdyby nie Helena, nie byłoby konia trojańskiego. Widzi Pan, to nie fakty kształtują historię, wszystko kręci się wokół urody. Och, niech się już Pan tak nie rumieni. „Żyj na poziomie buraka cukrowego, a życie będzie Ci słodkie”. To z pewnością słowa mężczyzny, co tłumaczy wiele idiotycznych zachowań. Być może dlatego poszukując faceta swoich marzeń, powinniśmy kierować się aforyzmem: „Każda kobieta jest farmerką swojego losu”? Żeby znaleźć prawdziwego księcia, proszę Pana, to trzeba najpierw pocałować morze żab!

A z takich życiowych mądrości, to było coś jeszcze na temat takich samych połówek jabłka. Tylko... Czy życie uwzględniło różne odmiany tego samego gatunku? Chociaż wie Pan, był kiedyś pewien myśliciel mężczyzna. Forrest Gump się nazywał. W swoim życiu powiedział jedną mądrą rzecz: „Poznasz głupiego po czynach jego”. Szkoda tylko, że nawet Forrest był postacią fikcyjną ... No i widzi Pan? Tak to jest z tymi facetami!

— (...) Ma Pani tę pracę.

NIE TYLKO NUDNI

Czy pasją sztygara, ratownika na basenie i pracownika siłowni mogą być szachy? Okazuje się, że na emeryturze mogą być jego całym życiem.

Aleksander Roj



Szkoła podstawowa nr 1 w Tychach. Wchodzę głównym wejściem, od razu kierując się na prawo. Ciemny i zimny korytarz prowadzi mnie do małej sali, w której panuje hałas i duchota. Na oko 30 dzieci. Wszystkie w ciszy i skupieniu powinny przesuwac drewniane figurki po szachownicy, jednak niektóre krzyczą, biegają, malują na tablicy. W końcu to

dzieci. Jednak ktoś musi ich pilnować. — *Witaj, witaj* — pozdrawia mnie Janusz Górski, trener szachowy zespołu Jedyńka Tychy.

— *Już, chwilę, poczekaj, muszę tych łobuzów uspokoić. Paweł! Jak nie chce Ci się grać w szachy, to możesz iść do domu. Lidka, zagraj z Anią. Franek, siadaj do Marka. Poćwicz mat dwoma gońcami.* Górski ma donośny, silny głos, bez problemu ucisza rozbrykane dzieciaki. Ciężko mi ogarnąć całą sytuację panującą w małym pomieszczeniu. Jednak łysiejący pan w średnim wieku niczym dowódca wojska, rozkazuje młodemu szachistom. Proszę, siadaj. Mimo, że zapadła cisza, widać na jego twarzy roztargnienie. Wytarte džinsy, szary sweter, lekko wytrzeszczone oczy, jego spojrzenie krąży po stosie papierów na biurku. — *Co chcesz wiedzieć? To masz do gazety? Bo ja Ci mogę na brudno to napisać. Ostatnio były półfinały MP i mamy finalistkę, więc ja Ci to mogę wszystko opisać* — zaskakuje mnie inicjatywą i otwartością. Nie chodzi mi o jednak o sukcesy klubu. Chcę wiedzieć, ile lat trenuje młodych szachistów. — *W 1994 roku pani Gładysz, dyrektorka szkoły, poprosiła mnie, żebym zaczął prowadzić kółko szachowe. W 1996 powstał klub, a w 1998 awansowaliśmy z Ligi Okręgowej Juniorów do III ligi śląskiej* — opowiada szczegółowo — *Michał! Proszę zagrać rewanż, nie uciekaj!* — poucza kilkuletniego chłopaka. — *Słuchaj, zaraz się kończą zajęcia, więc pójdziemy gdzieś i pogadamy na spokojnie.* Zgadzam się bez namysłu, bo hałas robi się nie do zniesienia. Nie marnuję jednak czasu i siadam do małego bruneta, który właśnie wygrał partię.

— *Brawo, wygrałeś!*

— *Tak* — odpowiada nieśmiało.

— *Od ilu lat grasz?*

— *Już od trzech.*

— *Ile masz lat?*

— *12.*

— *Lubisz trenera?* — staram się mozolnie wyciągnąć informację.

— *Tak. Nauczył mnie grać w szachy i jeździł z nim na turnieje.*

Czasem jest śmieszny.

— *Trenujesz tylko w szkole?*

— *Nie. Ćwiczę też w domu. Tata tak chciał. W domu jest lepiej, bo pan przynosi mi różne książki i robimy zadania szachowe.*

— *W szkole nie macie książek do szachów?*

— *Nie.*

— *Płacicie za zajęcia w szkole?*

— *Nie, ale jak trener przychodzi do domu, to tata mu płaci.*

— *Myślisz, że lepiej grasz dzięki treningom?*

— *Tak. Grałem już na Mistrzostwach Śląska i byłem piąty.*

— *Chowamy figury! Można iść już do domu!* — Trener ogłasza koniec zajęć.

Początki

Tuż po wyjściu ze szkoły pan Janusz zapala papierosa.

— *Pójdziemy do Warki, co? Napiję się piwka, a Ty tam..*

nie wiem, co chcesz. — Górski rzuca mi propozycję. Idzie szybkim krokiem, ledwo nadążam. Pali papierosa za papierosem. Niezła kondycja dziwi przy takim nałogu.

Siadamy przy stoliku. — *Gram w szachy od drugiej klasy podstawówki.* — Kolejny papieros.

— *Zawsze, gdy wracałem do domu, musiałem iść przez park. Tam zauważyłem, jak starsi panowie grają w szachy i sam się nauczyłem. Po dwóch latach zostałem mistrzem powiatu wojewódzkiego, po trzech mistrzem województwa.* — Opisuje wszystko energicznie, z pasją, bez zająknięcia. Rozwija temat do niebywałych rozmiarów. Nie daje mi szans na kolejne pytania.

Mimo że szybko połapał się w królewskiej grze, nie został zawodowym graczem. Jedyń szachowy trener w Tychach skończył technikum i z wykształcenia jest górnikiem.

Z szachami rozstał się w wieku 19 lat. — *Nie było gdzie się rozwijać. Zaczęłem grać w piłkę ręczną. Nowe wyzwanie, a i w szkole można było trenować. Oprócz tego siłownia, basen. Poza tym szachiści to nie są tylko nudni, chudzi, powolni okularnicy, lecz żywiołowi i mądry ludzie* — uśmiecha się pod nosem. — *To były czasy. Nie było żadnych komputerów, komórek.*

Praca

Nawiązując do szachów, można powiedzieć, że życie Górskiego było poukładane jak figury na szachownicy. Po ukończeniu szkoły poszedł do kopalni. Po 7 latach ożenił się, potem urodził mu się syn Michał. 6 lat temu poszedł na emeryturę. Wnioskuje, że wiodąc spokojne życie, wrócił do szachów. — *Nie do końca. Nie wysiedziałem długo w domu. Zrobiłem licencję ratownika i dostałem pracę na basenie miejskim. Ponadto pracowałem na siłowni.* — O szachach nie zapomniał, jednak nie doczekały się one pełnego poświęcenia z jego strony. Być może wpływ na to miało jego drugie hobby – zakłady sportowe.

Hobby

Oczywiście to szachy były jego pierwszym hobby, jednak później była ręczna i basen. Dziś uwielbia piłkę nożną. — *Manchester United. To jest to* — mówi z udawanym angielskim akcentem.

Ze względu na wielkie zaangażowanie w obstawianiu wyników zamontował sobie w domu kablówkę. Tygodniowo wydaje na gazety sportowe około 30 złotych. — *Jak już coś robić to porządnie, nie po łebkach. Tak samo na szachownicy — każdy ruch musi być przemyślany, nie byle jaki, bo potem nie ma końca partii, tylko trzeba robić następne posunięcia. Mógłbym być spokojnie trenerem kadry narodowej* — śmieje się, charakterystycznie marszcząc nos.

Trenerka

Nadszedł wreszcie okres, kiedy pan Górski mógł dać upust swojej pasji. Propozycję byłej już dyrektorki SP 1 przyjął bez zastanowienia. — *Nigdzie już nie pracowałem, więc nie widziałem przeszkód. Tym bardziej, że w Tychach nie było żadnego klubu szachowego, a choćby w pobliskich Gliwicach są trzy. No i przypomniła mi się też moja sytuacja, kiedy to zaniedbałem szachy.* — Zaczęło się kameralnie. Początkowo dzieci przychodziły na kółko szachowe, jednak po roku trener wprowadzał graczy do turniejów. Po dwóch latach do Tychów zawitała liga. — *Awansowaliśmy w cuglach, mimo że zawsze musieliśmy oddać 2 walkowery. Mecze kończyliśmy 4:2. Nie mieliśmy dziewczyn, a wymóg jest taki, żeby w zespole grały dwie.*

Czas działał na korzyść nowemu klubowi. Coraz więcej chętnych i coraz lepsi gracze. W końcu pojawiły się dziewczyny i skład był pełny.

Początki były jednak trudne. — *Nie mieliśmy szachów, zegarów, niczego. O sponsorze mogliśmy pomarzyć.* — Rozwój klubu to głównie jego zasługa — udało mu się przekonać rodziców i szkołę, żeby wsparli młodych szachistów. Na efekty nie trzeba było długo czekać.

— *Awans do II ligi zrobiliśmy w ekspresowym tempie. Wszyscy gracze zrobili normy na kategorię (tytuły szachowe określające siłę gry zawodnika), a utrzymanie było sensacją. Słyszałem, że zajęcia są darmowe.* — Zawodnicy płacą składki i pokrywają koszty licencji — wyjaśnia — *Te składki nie idą na moje konto. Gdy są MP, wtedy pieniądze ze składek idą do zawodników, którzy awansowali, ponieważ muszą zapłacić pokątną kwotę za nocleg i wyjazd.*

— *A jak z dojazdami na mecze? Nie zawsze gramy u siebie.* — *To także jest na mojej głowie. Jednak znów pomocną dłoń wyciągają rodzice. To oni własnymi samochodami zawożą nas na zawody, Nie ma z tym większych problemów, rozgrywki są w weekendy.*

Nie tylko zawodnicy poczynili postęp. Sam trener, ze względu na dobre wyniki swoich podopiecznych, został wcielony do kadry trenerskiej Śląska. Jest także sędzią szachowym III kategorii.

Otoczenie

Siłą rzeczy, zabrakło mi czasu, aby dowiedzieć się wszystkiego, więc umówiliśmy się na następny dzień. Jednak przed spotkaniem spytałem bardziej doświadczonych zawodników o opinie na temat warsztatu trenerskiego pana Janusza. — *Wirtuoz* — odpowiada bez namysłu 18-letni Damian. — *Pamiętam okres, gdy miałem treningi z panem Pinkasem. Zajęcia były schematyczne i nudne. Trening z panem Górski to fajerwerki.*

— *Pan Górski potrafi niesamowicie zaciekawić. Sam niekiedy z ciekawością przysłuchuję się, gdy trener opowiada mojemu synowi o taktykach i zagraniach.* — opowiada mi ojciec 12-letniego Pawła.

Spiesz się powoli

Dziś pan Górski nie prowadzi zajęć tylko w SP 1. Pod swoją opieką ma ponad 200 dzieci ze szkoły nr 10, ze szkoły STO oraz z dwóch przedszkoli w Tychach. — *Do tego dochodzą wyjazdy na ligę, zarówno z juniorami, jak i seniorami, bo także zespół seniorów mamy w Tychach. Można powiedzieć, że jestem członkiem instytucji* — śmieje się. W domu nie ma go od 14 do 20. — *Nie ma pan czasem myśli, żeby rzucić to wszystko?* — pytam, mając na myśli hałas w sali gry.

— *Nie. Widzę jak dzieci się rozwijają i to cieszy człowieka. Cieszę to, że mogę im pomóc i budować coś na nowo. Z resztą już mówiłem, jak już coś robić, to porządnie.*

Kiedy patrzyłem na poświęcenie pana Janusza nasunęło mi się ciekawe pytanie. — *Oczywiście, że miałem propozycje z innych, lepszych klubów. Jednak to w Tychach chcę zbudować silny klub. To tutaj mam wszystko pod kontrolą. Co prawda, teraz klub nie ma tak się dobrze pod względem wyników jak kiedyś, ale jest takie przysłowie szachowe „Spiesz się powoli”. I tego się będę trzymał.*

Wspólny interes własny

Od dawna zasypywani jesteśmy gradem kontrowersyjnych, aczkolwiek bardzo entuzjastycznie przyjmowanych pomysłów.

Swego czasu hasło: „wykastrować pedofilów” wzbudzało dreszcz emocji na niejednym, nie tylko najbardziej zainteresowanym karku.

Szeroki wachlarz profesorów nauk nam znanych

Michał Mierzwa



i nieznanych prezentował swe wdzięki w telewizji od świtu do zmierzchu.

Rzecznik Praw Obywatelskich z wielkim trudem zdołał ujarzmić ścierające się grupy obrońców praw człowieka i zwolenników bardziej radykalnej wersji obrzezania.

Polski rząd ostatnimi czasy buja w przestworzach fun-

dując nam namiastkę kosmicznej przygody w postaci sprawozdań sond badawczo-spiegowskich. Najnowszy pomysł miał charakter zupełnie nie z tej ziemi: wzmocnienie pozycji premiera kosztem ograniczenia władzy prezydenta. Jak wiadomo, każda misja kosmiczna spotyka się z wielkim zainteresowaniem mediów. Tym razem również nie było inaczej.

Myli się każdy, kto uważa iż strzelanie tymi „kapiszonami” niczemu nie szkodzi. Powiem więcej, najbardziej na tym tracimy właśnie my – studenci.

Obecne posunięcia w zakresie gospodarki będą decydowały o tym, czy za 40 lat nasza emerytura będzie wynosić 30% czy 65% a może nawet 110% wartości ostatniego wynagrodzenia. Zamiast dyskutować o projekcie przesunąć części składek emerytalnych z Otwartych Funduszy Emerytalnych do Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, karmieni jesteśmy zupełnie abstrakcyjnym, lecz bardziej medialnym pomysłem zmian w konstytucji. Roztaczanie aury

pandemii nad kolejną odmianą grypy sezonowej spycha na dalszy plan pomysł dofinansowania zagranicznego koncernu sa-

mochodowego kwotą 2 miliardów złotych z naszych podatków. Komentarze dotyczące przyszłej kariery byłego premiera i prezesa banku PKO BP okazują się bardziej istotne aniżeli widmo 100-miliardowej dziury budżetowej w roku 2011. Kryzys finansowy z roku 2007 oraz ten późniejszy i bardziej odczuwalny – giełdowy z roku 2008 na szczęście nie był tak katastrofalny w skutkach dla naszego kraju, jak chociażby dla Ukrainy. Nie jest to czas by wyjaśniać, dlaczego tak się stało, ale należy zwrócić uwagę na istotne fakty. Polski rząd, w porównaniu do naszych sąsiadów europejskich i partnera zza oceanu, nie poczynił żadnych kroków by znaleźć się w nowej postkryzysowej rzeczywistości.

Jeśli kiedykolwiek miałby nadejść czas dokonania skoku ekonomicznego w Polsce, dzisiaj jest ku temu najlepsza okazja.

Z nieznanych przyczyn zamiast podejmować dyskusję na tematy gospodarcze, ciągle poruszamy się w świecie wyimaginowanych pomysłów rodem z Nibylandii. Nie pozwólmy sobie przesłonić rzeczywistego obrazu stanu gospodarki (jednocześnie naszej kieszeni) pianą medialną bitą na nastrojach społecznych.

Przedstawioną wizję należy zderzyć z odwiecznym zadawanym pytaniem – jaki wpływ na otaczającą nas rzeczywistość ma jednostka? Otóż ma, bardzo istotny. Dowodem tego był znaczący, bo ponad 20-procentowy wzrost frekwencji w ostatnich wyborach parlamentarnych. Kolejnym przykładem z ostatnich dni jest obietnica ustanowienia święta Trzech Króli dniem wolnym od pracy. Inicjatywa obywatelska pomimo 700 tysięcy zebranych podpisów najpierw została kilka miesięcy temu odrzucona przez Sejm, aby kilka dni temu usłyszeć zapowiedź premiera o ustanowieniu 6 stycznia dniem wolnym od pracy.

Ostatecznie, to właśnie obywatele polityką małych kroków mogą wybrać dla siebie optymalne rozwiązania kluczowych spraw – nie tylko społecznych i gospodarczych.



NAD TRYBEM DUMANIE NIESPOKOJNEJ DUSZY, ZŁOŚLIWOŚCIĄ OKRASZONE

*Nie dla nerwowych, bez dystansu do siebie i już lekarzy,
ale jeszcze z pustym indeksem.*

Adam Marcisz



Dzienne i garnuszek rodziców czy zaoczne i samodzielność w różnym tego słowa znaczeniu? Chyba każdy z nas, przynajmniej przez chwilę, zastanowił się nad wyżej wymienionymi ewentualnościami. Jak wszystko w życiu, takie przynajmniej odnoszę wrażenie,

wszystko ma swoje plusy i minusy. Zaś wymienione przeze mnie możliwości to te najbardziej wykrystalizowane, a przecież istnieje multum ich mutacji, bo podobno każdy z nas jest inny. Podobno. Postaram się pokrótce prześlisnąć się i podzielić obserwacjami, które poczyniłem podczas ostatniego półtora roku zdobywania wiedzy.

Studia dzienne to marzenie większości tych, którym sama matura nie wystarcza tudzież jeszcze nie chcą się budzić i zauważyć, że dowód osobisty nie oznacza tylko legalnej możliwości zakupu alkoholu, a faktyczną pełnoletniość i teoretyczną dorosłość (czyt. „skończyłeś/-aś szkołę, nadszedł czas przygotowań do opuszczenia gniazda”). Z tą ostatnią bywa jednak różnie. Niestety (a może „stety”) nie każdy dostaje się na ten wymarzony kierunek na wyśniewionej uczelni. Życie jest okrutne, a 36% punktów z matury z matematyki oznacza, że raczej marny będzie z Ciebie architekt. Zaczyna się kombinowanie. Co teraz? Brać koło ratunkowe – dzienne, które mnie raczej mało interesują i próbować w przyszłym roku, czy w trybie zaocznym rozpocząć to, co pozwoliłoby mi robić w przyszłości (przynajmniej teoretycznie) to, do czego jestem stworzony. Czasem pojawia się myśl. „Może to jednak nie jest moje powołanie, a Jahwe/Allah/budda, mówi z wysokości: *taki z Ciebie przyszły prawnik jak z koziej ... trąba*. Wezmę sobie inny, mało wymagający kierunek, nie będę musiał pracować przez pięć lat, bo przecież studiuję, a w wakacje odpoczywam.” Studia dzienne mają przewagę jeżeli chodzi o poziom nauczania. Może ona być mała albo duża, ale zawsze jest. Wiadomo, że na dzienne

dostali się ci lepsi, no może poza wąskim marginesem, który zostanie skutecznie zniszczony poprzez semestralny system eliminujący. Strach przed pracą i w jakimś stopniu również dorosłością kieruje często do wyboru mało wymagającego kierunku w celu przedłużenia sobie szkoły średniej i zastanowienia się nad tym, co będę robił w przyszłym życiu... Tym osobiście życzę jak najszybszego doinformowania, najlepiej przed 40-stką, bo ta wiedza może się przydać.

Tryb zaoczny (tudzież, jak lubi się dziś określać, wyrazem mającym bardziej „polityczny” wydźwięk: „niestacjonarne”) wybierają ci, którzy, po pierwsze, nie dostali się na dzienne. Pragnę nadmienić, iż na studia zaoczne raczej nie dostajemy się, a zapisujemy. Wiem, że ładnie to brzmi, gdy można się pochwalić babci: „Dostałem się na studia!” Z tym, że raczej ciężko nie dostać się tam, gdzie jest 100 miejsc i 60 chętnych po trzech rekrutacjach. Co za tym idzie, na zaocznych nie brakuje „bystrzaków”. Po drugie ci, którzy chcą się usamodzielnąć lub ci, których... nie stać na bezpłatne dzienne (co kraj to obyczaj, a w naszym są one faktycznie ciekawe). Dobrze jest mieć rodziców, którzy wspomogą i to nie tylko dobrym słowem, choć to ostatnie również ważne... Zaś sytuacje w życiu bywają różne, a czasem bywa i tak, że trzeba wcześniej w 100% się usamodzielnąć, przy jednoczesnej chęci przynależenia w niedługiej przyszłości do kasty polskiej inteligencji. Wyżej wymienione „typy ludzkie” nie są oczywiście jedynymi, a raczej małą częścią „klasyfikacji zaocznych”, tymi najbardziej charakterystycznymi. Na koniec wielki ukłon w stronę studentów dziennych, pracujących lub na dwóch (a zdarza się, że i więcej) kierunkach, niekoniecznie dziennych, ale także mieszanych (jeden dzienny, drugi zaoczny). Według mnie wykonują 200% normy i powinni mieć przebicie na rynku pracy, jako ludzie umiejący godzić różne niedogodności płynące z prowadzenia niejako „rozdwojonego życia uczelniano – biznesowego”. Powinni, ale jak wiadomo różne diwy w naszej Rzeczypospolitej działały się, dzieją i zapewne działać będą...

BYĆ JAK

amerykański luzak

CZY

szwajcarski zegarek ???

Monika Steblik



„Zdejmowanie butów jest bardzo nieelegancie. Walczę z tym cały czas, nie pozwalam gościom zdejmować obuwia u mnie w domu, no i oczywiście nie ściągają, gdy idę do kogoś. Śmiesznie człowiek wygląda w garniturze lub sukience i na boso. A już najgorsza rzecz, gdy ktoś proponuje mi swoje kapcie, okropność.”

(Bogusław Kaczyński w Rozmowach w toku, 03.09.2009r)

Pedantyzm to choroba czy dobra wróżka? Według Pana Bogusława Kaczyńskiego pedanteria powinna wynikać przede wszystkim z potrzeby, a dopiero później stać się nawykiem. Te zasady powinny być zaszczepiane u dzieci już od najmłodszych lat. Ale czy małe dziecko musi w wieku 8 lat mieć wszystko na swoim miejscu? Wszystko pięknie poukładane w szafce (najlepiej kolorami), ład na biurku, czystość na każdym kroku – nie mówiąc już o idealnie wyprasowanej koszuli czy spodniach. Wieszaki w szafie w jednym kolorze, oczywiście wszystkie odwrócone haczykiem do wewnątrz. Mały paproch na ziemi – trzeba go podnieść, zagięta firanka – trzeba ją ładnie ułożyć, odwinęty kołnierzyk – trzeba go poprawić, bo jak tak można?! Dość przykładów, żeby zwariować? Gdzie leży granica między pedantyzmem a obsesją czystości?

Pedantyzm objawia się w różnych postaciach: w sprzątaniu, mówieniu, wyglądzie. Rozmowa z osobą, która ciągle poprawia każdy wyraz, który powie rozmówca, staje się tak męcząca, że po krótkiej chwili nie mamy ochoty się już odzywać. Osoby pedantyczne są mało elastyczne. Czasami nie potrafią się odnaleźć w nowym środowisku, więc układają wszystko w swoim porządku. W pewnym sensie jest to egoistyczne, ale myślę, że wynika to z lęku, że coś może pójść nie tak jak sobie to zaplanowali. Świat wystarczająco nas doświadcza pokazując, że istnieją również inne kolory prócz czarnego i białego.

Kiedyś poznałam kobietę, która miała „manię rzeczy nowych”. Bezustannie kupowała buty. Pracuję w sklepie obuwniczym, tam można spotkać takie przypadki, że włosy stają dęba. Wracając do przypadku pani od pięknych, malinowych kozaków. Poproszę rozmiar 37. Czym prędzej zaczęłam przeszukiwać półkę. Jest! Fantastycznie. Proszę bardzo. Po chwili pani zaczęła swoje wywody. Przepraszam, czy nie ma pani drugiej pary, bo nie wiem czy zauważyła pani, ale tutaj jest taka kreszczka... o widzi pani? Tutaj na podeszwie.. Gdzie?! I nie wiem, czy pani zauważyła, ale tutaj z tyłu, wie pani, jak są te zszycia...

to tutaj jest za mało o jeden szew... I nie wiem, czy pani to zauważyła, ale jedna strona podeszwy... o tutaj na prawo, widzi pani? Jest grubsza – widzi to pani, prawda? Przeżyłam szok. Nie dość, że ten PRZYPADEK miał słowotok, to jeszcze znalazł tyle niezauważalnych mankamentów w jednym bucie, że sam D&G stałby ukłony. Pokazałam pani drugą parę, po czym udałam się na przerwę, żeby ochłonić. Pani nie kupiła butów, bo na każdym kroku znajdowała inny mankament: a to nierówne sznurówki, a to kolor, a to zszycia jakieś dziwne... Miałam niezły ubaw, ale tak sobie pomyślałam, jaka musi być przez to nieszczęśliwa. Ile kobiet czerpie przyjemność z zakupów? Tak, mnóstwo. A ona biedna...

Mojej koleżance kiedyś wyskoczył pryszcz na twarzy i nie wychodziła z domu przez cztery dni, bo nie mogła się nikomu pokazać, tylko zastanawiam się czy to pedantyzm czy głupota? Czy pedantyzm ma dobre strony? Okazuje się, że niektórym pomaga. Przypadłość ta podobno pomaga w matematyce (zdaniem nauczycieli) oraz w planowaniu sobie życia. Ale czy na pewno?

Godzina 8.00 wstaję, godzina 8.10 – jem śniadanie, godzina 8.30 – myję się, godzina 8.45 – makijaż... A jeśli zepsuje się kran? Zaleje mieszkanie? Krasnoludki wyniosą chleb? Puder się roztraska? Pomocy! O 9:00 muszę wyjść! Jak teraz pokażę się na ulicy?! Stres, stres i jeszcze raz stres!! Nerwówka, że coś może nie iść tak jakbym chciała, ciągnę myśl, czy się wyrobię, czy zdążę się nauczyć, posprzątać tak, żeby zrobić to zgodnie z zaplanowanym grafikiem. Moim zdaniem osoby pedantyczne, które planują sobie każdą godzinę swojego dnia, zapisują skrzętnie w notesie godzinę kąpieli czy śniadania, same utrudniają sobie życie.

Podobno pedantyzm ma gdzieś swoje korzenie. Na przykład ludzie, którzy mają hopla na punkcie czystości, w dzieciństwie czuli dyskomfort przez nieczystość, moczyli się w nocy lub w kwestii higieny zaniedbywali ich rodzice. Takie badania przeprowadzono, ale czystość to chyba nie najlepszy przykład, bo chyba nikt nie lubi brzydko pachnieć. Nie neguję pedantyzmu, sama mam coś trochę z pedanta, ale nie jestem w fazie zaawansowanej. Nie, nie. Pomyślmy, czy nie lepiej mieć posprzątane w domu, kiedy zjawiają się niespodziewani goście, czy nie lepiej pięknie i estetycznie wyglądać, kiedy przypadkiem na ulicy spotka się miłość swojego życia, czy nie lepiej ustalić sobie grafik dnia tak, żeby później resztę dnia spędzić z przyjaciółmi? Czy nie lepiej mówić poprawnie po polsku, gdy przypadkiem trafimy na casting do teatru?

Podsumowując swoje wywody. Nie wiem jak Wy, ale ja nie chcę być amerykańskim luzakiem, który ma wszystko w poszanowaniu, ale też nie chcę chodzić jak szwajcarski zegarek. Trzeba znaleźć w sobie równowagę, która pozwoli nam poukładać wszystko na swoje miejsce. I fizycznie, i psychicznie.



Nazywam się Damian Morawski.

Jestem studentem trzeciego roku na Akademii Ekonomicznej w Katowicach na kierunku Finanse i Rachunkowość. Kierunek niezwykle silnie powiązany z fotografią, jak widać...

Cóż, w momencie, kiedy zaraziłem się tą dziedziną sztuki, było już za późno na myślenie o poświęceniu się tylko i wyłącznie tej pasji.

Olśnienie przyszło 3 lata temu, kiedy wyjechałem do Stanów.

Jeśli zdjęcia się podobają, zapraszam na:

www.damian.admin1961.website.pl

www.bmwmaniac.digart.pl

Piszcie na: damian.morawski@gmail.com

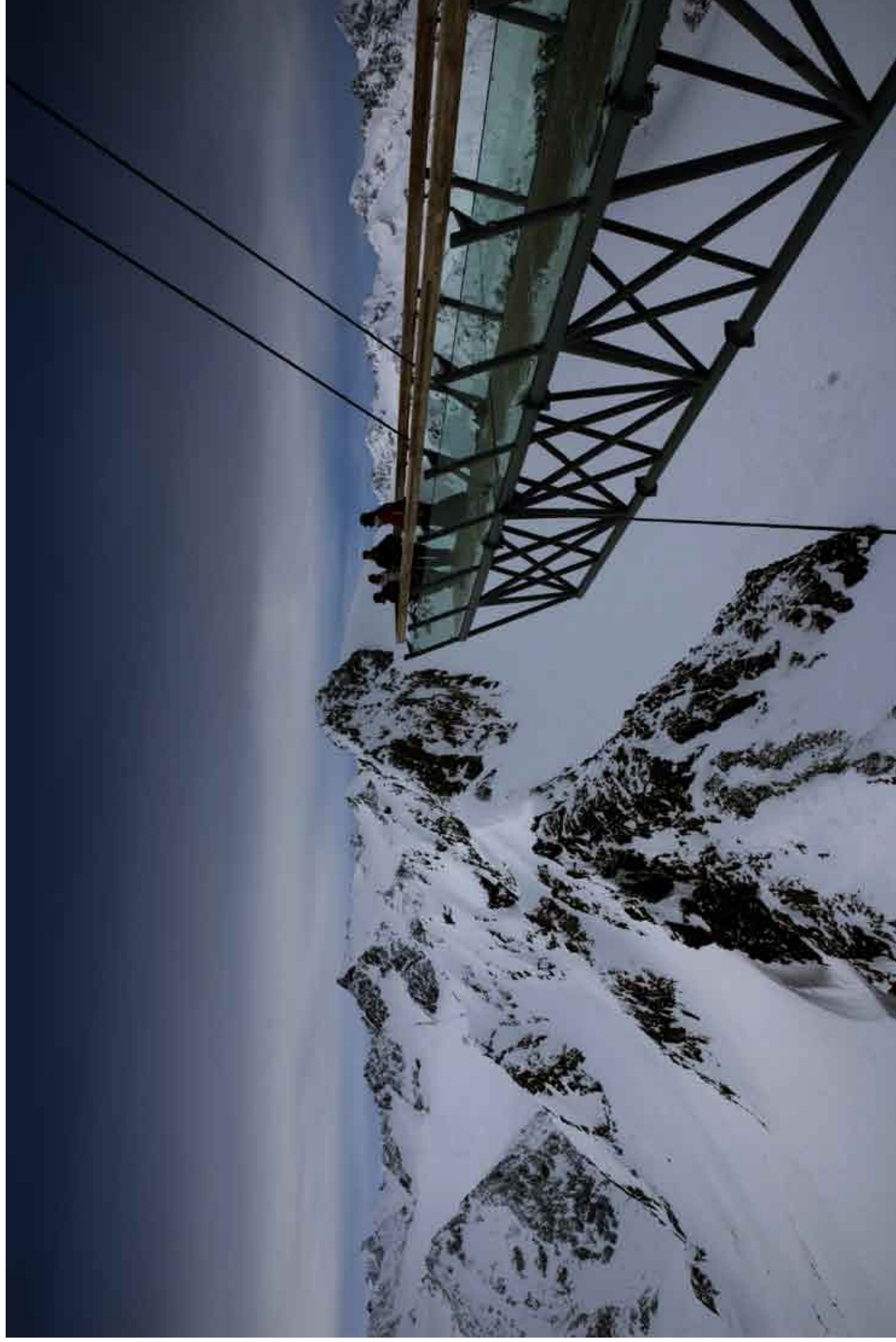


Mountains' Rush.

Potęga gór – austriackie Sölden, ponad 3300 m n.p.m.



To feel the sky.
Wspinaczka w butach narciarskich to dopiero extreme... jednak dla takich widoków - warto!



Mountains' Glamour
Lęk wysokości nie pomaga.



Glory Road.
Austria - Sölden



Wind of Change.
Parę sekund i spust migawki naciskasz zmrożonym kikutem.

ZAWÓD: ŻOŁNIERZ OD ZAWSZE ATRAKCYJNY

Wojsko Polskie jest w trakcie pełnego profesjonalizowania i modernizacji Armii.
Czy warunki, które oferuje Ministerstwo Obrony Narodowej są atrakcyjne?
I gdzie w tym wszystkim miejsce dla studenta?

Magdalena Cieślak



KNOW-HOW, CZYLI JAK ZAŁOŻYĆ MUNDUR
Jeżeli po skończonych studiach zapagniemy zasilić szeregi Armii, czeka nas kilka kroków do wykonania.

Podstawowym problemem jest wybór rodzaju służby. WP proponuje nam: Siły Lądowe, Morskie, Powietrzne, Pancerne, Desantowo-Szturmowe oraz Medyczne. Podstawowych informacji na temat służby oraz poborów do jednostek w okolicy, która nas interesuje, udzieli nam macierzysta Wojskowa Komenda Uzupełnień. WKU przekaże nam potrzebne dokumenty oraz skierowanie do jednostki, dlatego też tam powinniśmy stawiać nasze pierwsze kroki. Jeżeli z jakiegoś powodu zrezygnujemy ze studiów lub siły wyższe zdecydują, że wybrany kierunek nie jest naszym powołaniem, również możemy zwrócić się w stronę wojska. O przyjęcie do korpusu oficerów mogą ubiegać się osoby mające ukończone studia wyższe, licencjat czy tytuł

inżyniera. Do przyjęcia w korpusie podoficerów wystarczy posiadanie średniego wykształcenia (bez matury), zaś w korpusie szeregowych ukończone co najmniej gimnazjum. Zawsze możemy starać się o przyjęcie na Wojskowe Wyższe Uczelnie: Sił Powietrznych w Dęblinie, Akademię Techniczną w Warszawie, Akademię Marynarki Wojennej w Gdyni, Wyższą Szkołę Oficerską we Wrocławiu. Po spotkaniu w WKU czeka nas odbycie testów fizycznych (w zależności od rodzaju jednostki), rozmowy kwalifikacyjne, a jeżeli nasz wynik będzie zadowalający – podpisanie kontraktu żołnierza zawodowego na 3 do 6 lat.

WARUNKI PRACY, CZYLI NIE TAKI DIABEŁ STRASZNY, JAK GO MALUJĄ
Osoby wstępujące do Armii mogą być pewne, że ich zawodu nigdy nie osiągnie kryzys czy brak naboru. Podpisanie umowy oznacza stałą

i dość stabilną pracę z atrakcyjnym wynagrodzeniem i możliwością awansu. Wojsko zapewnia zakwaterowanie, zwrot kosztów przeprowadzki wraz z rodziną (na teren innej jednostki w czasie służby), 26-dniowy urlop, nagrody i dodatki mundurowe oraz możliwość wyjazdu na misje. Co roku odbywają się liczne spotkania dla rodzin żołnierzy, turnieje sportowe i konkursy historyczne. Istnieje również możliwość wyjazdów na wakacje do wojskowych ośrodków wypoczynkowych w całym kraju, WP ma swój oddział PTTK. Nie każdy wstępujący w szeregi wojska musi jechać do Afganistanu czy Iraku. Na misje zgłaszają się ochotnicy, a wyjazd jest równoznaczny z wyższą pensją i dodatkami za pracę w ciężkich warunkach.

G.I JANE, CZYLI ZA MUNDUREM PANO-WIE SZNUREM

Film amerykańskiej produkcji z Demi Moore w roli głównej, pokazał kobietę-żołnierza, twardą i równą mężczyznom. Polska Armia zaprasza pięć piękną w swojej strukturze

i przynajmniej im szereg uprawnień, wynikających z ich macierzyńskiej roli: w okresie ciąży nie są zatrudniane w godzinach nadliczbowych, nie mogą być umieszczane do prac szczególnie uciążliwych dla zdrowia, służą tylko do 50 roku życia, mają inne taryfy na testach z wychowania fizycznego

i na egzaminach.

Co ważne, urlop macierzyński przysługuje w równym stopniu kobietom, jak i mężczyznom.

Obecnie zawodową

służbę wojskową w Siłach Zbrojnych RP pełnią 1502 kobiety.

UŁANI WĘDRUJĄ, STRZELCY MASZERUJĄ – ZACIĄGNĘ SIĘ

Praca w Siłach Zbrojnych stała się o wiele bardziej opłacalna, nawet dla osób, które nie ukończyły Szkoły Oficerskiej.

W zależności od naszej postawy, dowódca może nas wysłać na szkolenia w celu uzyskania awansu. Zarobki szacują się od 2 200 zł dla starszego szeregowego do około 14 000 zł dla generała miesięcznie, bez licznych dodatków. Obecnie wojsko reklamuje się jako przygoda, miejsce dla ludzi z pasją, lubiących wyzwania. Będąc żołnierzem można zwiedzić świat, poznać ciekawych ludzi, testować no-

woczesne technologie i ciągle się dokształcać. Lecz Armia to nie same przyjemności – to przede wszystkim służba dla ludzi, niesienie pomocy humanitarnej, a także misje stabilizacyjne i pokojowe. Wojsko nie poszukuje morderców, ale wstępując w jego szeregi należy być świadomym, jakie zagrożenie niesie za sobą ta praca.



Zawód żołnierz

Dołącz do najlepszych



www.wojsko-polskie.pl www.mon.gov.pl

STUDENCI PODRÓŻUJĄ!

My AIESEC Experience

Ania Prasetek



Po wstąpieniu do organizacji stałam się członkiem 13-osobowego zespołu, nauczyłam się wielu rzeczy, jak np. pracy w grupie, współodpowiedzialności, lepszego zarządzania swoim własnym czasem, czy technik sprzedażowych, ponieważ jako jedna z osób odpowiedzialnych za kontakty zewnętrzne rozwijałam się w tym kierunku. Poznałam wtedy wiele osób z zagranicy, które przyjechały do Katowic na praktykę, co daje niesamowitą satysfakcję, jak wiesz, że ci ludzie są tu dzięki twojej pracy, czyli widać jej efekty.

Jeszcze w trakcie trwania tego projektu stałam się równocześnie liderem innego – konferencji lokalnej. Już na pierwszym roku studiów stałam się osobą odpowiedzialną za zorganizowanie kilkudniowej konferencji

Członkiem AIESEC jestem od października 2008 r.

Aplikowałam do tej organizacji, aby zdobyć doświadczenie, poznać nowych ludzi, podszkolić język i oczywiście dobrze się bawić! Podsumowując cały ten rok, mówię z pełną odpowiedzialnością: nie zawiodłam się. AIESEC dał mi wszystko to, czego oczekiwałam, a nawet i więcej.

Po wstąpieniu do organizacji stałam się członkiem 13-osobowego zespołu, nauczyłam

dla 60 osób. Miałam własny zespół ludzi, za który byłam odpowiedzialna i który na mnie polegał. Zdobyłam doświadczenie, jakiego nie zyskałabym na uczelni, a nawet na żadnych kursach.

Od marca zostałam liderem odpowiedzialnym za kontakty zewnętrzne kolejnego projektu, mając kolejny zespół ludzi, którzy byli zupełnie nowi w organizacji i trzeba było przekazać im odpowiednią wiedzę i motywację do działania. Każdego dnia uczyłam się i nadal uczę nowych rzeczy oraz podejmuję nowe wyzwania.

Jednym z tych wyzwań jest wyjazd do Indii na zagraniczną praktykę, na którą zdecydowałam się w maju, a wyjechałam w lipcu,

co można nazwać po części szaleństwem. Dzięki doświadczeniu zdobytym w AIESEC było mi łatwiej przejść proces rekrutacyjny. Pobyt w tym cudnym kraju był do tej pory największą i najpiękniejszą przygodą, jaką przeżyłam. Poznałam ponad 100 osób z całego świata, z niektórymi z nich kontakt z pewnością szybko się nie urwie, o ile w ogóle kiedyś się to stanie. Zdobyłam tam kolejne doświadczenia pracując w jednej z największych firm w Indiach, która jest pierwsza w rankingu INDIA'S BEST COMPANIES TO WORK FOR 2009. Myślę, że dzięki takiemu doświadczeniu – 3-miesięcznej praktyce w indyjskiej firmie – nic mnie już nie zdziwi i żadna praca mi nie będzie straszna! Ale praktyka to nie tylko praca, ale także czas wolny, zwiedzanie i przygody, których w tym najbardziej kolorowym kraju świata nie brakuje!!

W tym momencie Ty też możesz wyjechać na praktykę. Wejdź na

www.katowice.aiesec.pl



TAKA NO... CHIŃSZCZYŻNA

|komu w drogę|

Będąc w Polsce od jakiegoś czasu i pisząc ten artykuł w swoim mieszkaniu trudno mi sobie wyobrazić, że jeszcze dwa miesiące temu wspinałam się na Wielki Mur Chiński. Trochę o tym zapomniałam, a właściwie wydaje się to teraz tak nierealne, że właściwie jawi się to bardziej jako sen lub marzenie.

Anna Ślęczkowska



Jakkolwiek bym na to patrzyła, faktem jest, że dwa miesiące spędziłam w Chinach na stażu edukacyjnym zorganizowanym przez organizację studencką

AIESEC. Będąc nauczycielką języka angielskiego, w czasie wolnym zwiedzałam Chińską Republikę Ludową, poznawałam jej kulturę i mieszkańców oraz uczyłam się podstaw mandaryńskiego. Trudno skondensować moje nigdy-niekończące się historie do jednego artykułu, dlatego też skupię się na jednym aspekcie – komunikacji międzykulturowej. Jako oświecona oraz świadoma międzykulturowych różnic absolwentka socjologii pojechałam na swoją wyprawę z zamiarem poznania Chińczyków – ich kultury, sposobu myślenia, podejścia do życia, zainteresowań etc. Wiedzałam, że cierpliwość oraz uśmiech to podstawowe cechy dobrego podróżnika. Oczywiście potrzebna jest także wiedza o kulturze oraz zachowaniach w kraju, do którego kieruje się swoje kroki. Wszystkie powyższe punkty odznaczałam jako zrobione jeszcze długo przed swoją wyprawą.

Jednak na miejscu okazało się, że świadomość istnienia różnic nie wystarcza, a ponadto potrzebna jest nieskończenie wielka doza cierpliwości. Po zapoznaniu wielu przedstawicieli dosyć ograniczonej grupy, na którą składali się studenci, posługujący się językiem angielskim – uciekałam do członków świata zachodniego. Dlaczego?

Skoro pojechałam do Chin i chciałam poznać tamtejszą kulturę oraz ludzi, to dlaczego przysłowiowo nie trzymałam sztamy z Chińczykami? Otóż dlatego że najnormalniej w świecie nie chciało mi się dłużej męczyć i gimnastykować nad wspólną komunikacją i zrozumieniem przedstawicieli odmiennej kultury. Zdecydowanie łatwiejszym wyjściem było spędzanie czasu z ludźmi z mojego kręgu kulturowego.

Krąg ten zataczał dosyć spore koło, ponieważ włączał w swoje granice Amerykanów. Ale kto by się dziwił, w końcu z powodu wszechogarniającej globalizacji świata zachodniego, Polak i Amerykanin są już dwoma bratankami.

Wiele elementów chińskiej mentalności było trudnych do zaakceptowania. Dla mnie największą zbrodnią było wypracie indywidualizmu ze społeczeństwa – większość młodych ludzi zachowuje się tak samo, słucha podobnej, nieokreślonej muzyki (zawsze zostaje przywołane Spice Girls, Backstreet Boys oraz Michael Jackson), lubi grać w ping-pong oraz koszykówkę, a w wolnym czasie gra w różnorodne gry komputerowe. Po pewnym czasie zadawanie podstawowych pytań zdawało się zbędne, ponieważ z góry można było przewidzieć odpowiedzi. Oczywiście tutaj tkwi pułapka generalizacji – większość studentów, z którymi miałam

przyjemność, zachowywała się według poniższego schematu... całe szczęście nie wszyscy! Drugą trudną do zaakceptowania i uwarunkowaną kulturowo cechą jest niemożność przyznania się do błędu, bądź niezrozumienia. Chińczyk straciłby twarz w towarzystwie, czasami nawet autorytet gdyby przyznał się do swojego błędu, lub oświadczyłby otwarcie, że nie rozumie, co

ktos powiedział w uwielbianym języku angielskim. Jest to nie tylko uciążliwe w rozmowach nieformalnych, kiedy po prostu zależy nam na dobrej komunikacji i poznaniu



drugiej osoby, ale przede wszystkim w kontaktach formalnych w miejscu pracy. Wielokrotnie rozmawiając o warunkach pracy, obowiązujących regułach czy też zarobkach, niezrozumienie, a co najważniejsze – nieprzyznanie się do niezrozumienia – pociągało za sobą poważne konsekwencje. Moją przełożoną była nadwyraz miła oraz sympatyczna Sky, nauczycielka języka angielskiego w klasach początkowych, której wielokrotnie zdarzało się odpowiadać „Tak!” na pytanie otwarte... przez co początki pracy w szkole były strasznie skomplikowane.

Tak jak wspominałam, generalizacja, czy też szufladkowanie całego narodu chińskiego, liczącego obecnie około 1 328 020 000 osób, oraz zamykanie się na kulturę i społeczeństwo byłoby zbrodnią wymierzoną wprost w ideę podróżowania. Nie chcąc jej popełnić, nieprzerwanie poszukiwałam i poznawałam kolejne osoby. W taki oto sposób zapoznałam studenta anglistyki, który nie bał się porozmawiać z obcokrajowcami o polityce (jest to zabroniony oraz omijany temat w rozmowach) oraz o zbrodni na placu Tiān'ānmén (większość młodych ludzi o niej nie wie), zwartą grupę muzyków grających w punkowym podziemiu czy też dziewczynę nawróconą przez amerykańskich protestantów na chrześcijaństwo.



MOSKWA – KOCHAŁAM

Dwa lata temu, jadąc do Moskwy, wiedziałam o niej tyle, co przeciętny Polak. W mojej głowie pełno było raczej negatywnych stereotypów, no bo wiadomo, że Rosjanie to zacofani alkoholicy i komuniści. Miałam szansę to zweryfikować. „Zapomnij o wszystkim, co kiedykolwiek słyszałaś na temat Moskwy” - powiedziała Rita. No i się zaczęło.

Agnieszka Grenke



W drodze

To była szybka decyzja – nie chcę już tylko oglądać Moskwy na slajdach ciotki, jedziemy. Rita, moskwianka, wieloletnia przyjaciółka ciotki, już na nas czeka. Jednak szybko okazuje się, że nie da się tak po prostu „jechać”, potrzebna jest wiza, a jej zdobywanie trzeba sobie dobrze zapamiętać i potraktować jako zapowiedź tego, co nas

czeka po przekroczeniu granicy. Zanim więc wyruszę do Rosji, muszę się wybrać do Krakowa, wypełnić skomplikowane formularze, odstać cztery godziny w kolejce w pełnym słońcu, zrobić kilka kursów konsulat – bank, bank – konsulat i oczywiście sporo zapłacić. Po tych wszystkich procedurach i przesłuchaniach mogę w końcu jechać na Północ. Pociąg do Olsztyna, spotkanie z ciotką, autobus do Kaliningradu i po dwudziestu godzinach jestem po raz pierwszy w Rosji.

Nie wiem o niej wiele – tyle, co przeciętny Polak. Nie znam nawet cyrylicy. W Kaliningradzie odbiera nas brat Rity – Saszka – i zaprasza na obiad do rodzinnego domu.

Po drodze mam okazję zobaczyć miasto – nigdy już nie powiem, że w Polsce są najgorsze drogi. W małym, skromnym mieszkanku, z którego Rita wyjechała trzydzieści lat temu, zostajemy ugoszczone według zasady „czym chata bogata”. Jest tak miło i serdecznie, że tracę czujność i na chwilę przestaję się martwić o to, co czeka mnie dalej.

Na drugi dzień, przed odlotem do Moskwy, zdążamy zaliczyć plażę i... łapówkę na lotnisku. Czułam, że jest zbyt pięknie. Półtoragodzinny lot małym, ciasnym samolotem i jesteśmy na miejscu. Ostatni raz

widziałam Ritę mając trzy lata, dziś jestem od niej wyższa o głowę i przeraża mnie to, jaka jest drobna.

W tej pięćdziesięciolatce nadal widać małą gimnastyczkę. Po przyjeździe do jej M2, marzę tylko o jedzeniu i łóżku, ale nieważne jak bardzo jestem głodna – najpierw mam obowiązek napić się wódki. Bronię się, oczywiście bezskutecznie, *Stolicznaja* zostaje jednak od tamtej pory moją najlepszą przyjaciółką, jest tania, nie trzeba jej zapijać, kaca ani śladu, lecz ból brzucha, a zagryzana oliwkami jest smaczniejsza od każdego alkoholu.

Na miejscu

W końcu nadchodzi pierwszy poranek dziesięciodniowego pobytu w Moskwie. Dostajemy od Rity przewodniki, mapy i ruszamy do słynnego moskiewskiego metra. Od razu robią na mnie wrażenie miliony ludzi, każdy gdzieś pędzi, za swoimi sprawami, w sobie tylko znanym kierunku. Szybko zdaję sobie sprawę z tego, że nie ma możliwości spotkać tu tej samej osoby dwa razy. To nie są Katowice,

gdzie codziennie na przystanku widzę te same twarze. Samo metro jest konstrukcją wręcz doskonałą, jego pajęczne nogi docierają w każdy zakątek miasta, dostać się można wszędzie, łatwo, tanio i szybko, a przy okazji każda stacja metra to osobne, niepowtarzalne w swej koncepcji dzieło sztuki. Po wyjściu myślę już tylko o jednym – chcę tu mieszkać. Miasto to ogromne: zbudowane z rozmachem budowle i przy tym rozmieszczone nieprzypadkowo, tak jakby każdy metr ulic został dokładnie przemyślany i wkomponowany w otoczenie. Nie rozstaję się ze swoim Zenitem – za każdym rogiem wyłania się tak piękny widok, że nie nadążam fotografować. Nowoczesność miesza się i płynnie przechodzi w historię. Dochodzę do wniosku, że to centrum świata,

wszystko, czego tylko może zapragnąć człowiek, dostępne jest na wyciągnięcie ręki. Rita postanawia pokazać mi to miasto takim, jakie ona je widzi i dla którego poświęciła wszystko. Dowiaduję się, że to, że Moskwa to jeden wielki plac budowy, to nie przypadek. Budynki, zabytki architektury są burzone i odbudowywane na nowo w identycznej postaci – tak

się tu pierze brudne pieniądze. I tak na przykład Maneż, dawna ujeżdżalnia koni, spłonął w niewyjaśnionych okolicznościach i nikt już nie potrafił odbudować unikatowego, drewnianego stropu. Dziś jest tam galeria sztuki, ale kunsztu architekta tego budynku już nie zobaczysz. Według naszej przewodniczki, rujnują też piękno tego miasta mer Moskwy – Łużkow i jego ulubiony artysta, „szalony Gruzin”, jak nazywa go Rita. Jego „dziełem” jest między innymi kompleks fontann przy *Ochotnym Riadzie* – podziemnym centrum handlowym. Postaci z bajek w historycznym centrum miasta – ten absurd mówi sam za siebie. Szalony Gruzin jest też autorem licznych nieproporcjonalnych pomników, jeźdźców większych od koni, w tym gigantycznej figury Piotra I. „Ciociu, a co to za park rozrywki?” – ogromny car stoi na komicznie małym statku na rzece i ewidentnie przypomina kapitana Haka, który mógłby stanąć raczej w Disneylandzie, a nie w sercu Moskwy. Odważył się też „upiększyć” swoimi płaskorzeźbami cud architektury, jakim jest cerkiew Chrystusa Zbawiciela. Z nią też wiąże się niecodzienna i niedostępna w przewodnikach historia. Otóż za czasów Stalina zburzono ją i na jej miejscu powstał... basen miejski. Powoli przestaje mnie to dziwić. Nie wiem, dlaczego czuję przy niej zapach czekolady, chyba znów jestem zbyt podejrzliwa. Poza tym Moskwa jest „naj”, a w dowód Rita pokazuje nam najwyższy budynek mieszkalny świata, ogrodzony najdroższym płotem świata. Śmiem twierdzić, że jest też najbrzydszym budynkiem świata. Kolejne już, kolosalne wręcz wrażenie robi na mnie ogromne osiedle, nazywane przez Ritę „opuszczonym miastem”. Te luksusowe apartamentowce są całkowicie niezamieszkałe, przeciętnych moskwiaków nie stać na kupno takiego mieszkania, zostały zbudowane z powodu, którego już się domyślam. Rita potwierdza – trzeba było wyprać duże pieniądze. Tysiące pustych okien przerażają, czuję, że będą mi się śniły po nocach. Na podsumowanie tego pierwszego dnia Rita stanowczo nie chce pokazać mi muzeum rewolucji, upiera się, że nic tam nie



ma. Mamy zdać się na nią, oznacza to, że w następnych dniach zwiędzać będziemy tylko prawdziwe zabytki, stare świątynie, galerie i pomniki artystów, a ja zastanawiam się, czy naprawdę po to tu przyjechałam. Muszę jednak zapomnieć o swoich fochach, bo ten dzień tak szybko się nie skończy – ciotka się zgubiła. Rita wysiła swój angielski, żeby mnie uspokoić, a ja wciąż wykręcam numer ciotki, mimo że wiem, że jej telefon nie działa. OK, wszystko OK, znajduje się po kilku godzinach, spanikowana i roztrzęsiona, dostaje reprimendę od Rity, a ja już wiem, że będę musiała przejąć rolę przewodnika. Moje naturalne przystosowanie do życia w wielkim mieście niewiele tu jednak pomoże, jeśli mogę tylko usiąść i płakać,

bo wszystko i wszędzie wymaga znajomości języka rosyjskiego. Odtąd ciotki zadaniem jest czytanie i tłumaczenie mi wszystkiego, co napisane. Ja zajmuję się resztą.

„Musisz” to zobaczyć

Po tym wstępie przychodzi czas na samodzielne zwiedzanie, zaliczamy z listą w rękę to, co zaliczyć trzeba. W najważniejszych obiektach turystycznych po raz kolejny łużkow daje nam do zrozumienia, że nie jesteśmy tu mile widziane – bilety wstępu dla obcokrajowców są często dwa razy droższe niż dla Rosjan. Tam gdzie ta różnica jest niższa, ciotka myli czujność bileterek udając, że jesteśmy z Kaliningradu. Jak więc jest w tych najsłynniejszych miejscach? Plac Czerwony okazuje się być mniejszy niż na zdjęciach. Kreml – drogi i nudny, do zobaczenia największa na świecie armata, która nigdy nie wystrzeliła, największy na świecie dzwon, który nigdy nie zabrzmiał oraz trzy cerkwie, w jednej carów chrzczono, w drugiej koronowano, a w ostatniej chowano. Zabójcza logika. Mimo to, warto wybrać się na Kreml, żeby przekonać się, że Rosjanie też znają angielski, ulotka, którą otrzymuje się na wejściu jest dwujęzyczna. Dalej są dwie słynne galerie – Trietiaakowka i Muzeum im. Puszkina. W obcowaniu ze sztuką przeszkadzają jednak tłumy ludzi oraz panie w długich spódnicach i szalach, które siedząc na krzeselkach w każdej sali pilnują, dla nich tylko zrozumiałego, porządku. Niektóre ekspozycje najlepiej charakteryzuje zasłyszany przeze mnie w Trietiaakowce cytat z przewodniczki jakiejś angielskiej wycieczki: „Jeśli teraz rozejrzysz się państwo po tej sali, zobaczysz państwo, że każdy portret jest tutaj taki sam, to samo światło, tło, kolory. To dlatego, że w Rosji

panowała wtedy moda na takie portrety i każdy chciał taki mieć”. Brzmi zachęcająco, prawda? Na finał największa atrakcja – Mauzoleum Lenina. Dwie godziny czekania w kolejce wśród Azjatów z aparacikami na szyjach i kolorowymi parasolkami w rękach, potem przeszukanie, oddanie do depozytu aparatów, telefonów, ostrych narzędzi i „już” mogę zobaczyć, czego właściwie ci żołnierze tak strzegą. Schodzę pod ziemię, jest ciemno, czarne są sufity, ściany, podłogi. Za każdym rogiem stoi mundurowy, bez słowa i mrugnięcia okiem wskazuje mi ręką drogę. Jest mrocznie. Obok Lenina nie wolno się zatrzymać, szybkie zerknięcie i wychodzę. A sam Lenin? Wygląda sztucznie jak lalka, ciężko stwierdzić, czy rzeczywiście jest prawdziwy. Wrażenia nie robi sama jego postać, a raczej oprawa wokół niej.

Czar pryska

W ciągu następnych kilku dni urok Moskwy pryska. Zaczynam zauważać to, czego nie widziałam wcześniej, zachwycona ogromem i pięknem tego miasta. Teraz dostrzegam jak moskwianie bardzo chcą być Europejczykami. Wydaje im się, że nimi będą spryskując się perfumami od Gucciego i ubierając w ciuchy od Dolce i Gabbany. Niestety, brakuje im pewnej ogłady i kultury, którą Europejczycy mają wrodzoną. Nie jest na Zachodzie akceptowane zostawianie i rzucanie śmieci pod siebie, a na trawnikach jest mimo wszystko więcej roślin niż petów, w Moskwie jest odwrotnie. Niskie ceny papierosów powodują, że pali każdy – do tego stopnia, że przed wejściem do metra stoją baniaki z wodą, w których po kilku godzinach tworzy się obrzydliwa, brązowa, śmierdząca zupa z petów. Tanie jest też piwo, właściwie to tańsze od wody mineralnej, no i bardziej dostępne, bo można je kupić w każdym kiosku. Całe szczęście, że picie pod chmurką jest już zakazane. Spacerując po Nowym Arbacie mijam wielkie, świecące kasyna, pod którymi stoją zaparkowane czarne limuzyny. Gdy zejdę do przejścia podziemnego spotykam babcię sprzedającą nocniki i żyjącą za dziesięć kopiejek dziennie. Na dodatek jedyną osobą, z którą mogę porozmawiać jest ciotka, a mówiąc szczerze, nie zawsze się dogadujemy. Ból głowy rozrywa mi czaszkę, płacząc po nocach i chcąc stąd uciekać.

Moja Moskwa – mój Lenin

W końcu jednak w tym nieludzkim mieście znajduję swoje miejsce – Park Skulptury, czyli cmentarzysko upadłych pomników. W tym muzeum pod gołym niebem nikt nie pyta o narodowość, nikt też nie bije po łapach za dotykane eksponatów i robienie zdjęć. Wśród mnóstwa pomników bez autora, rzeźb upamiętniających ofiary Holocaustu ironicznie zestawionych z figurami Stalina, spędzam cały dzień, odpoczywam i wreszcie przestaje mnie boleć głowa. Zapach czekolady w centrum też był prawdziwy, stoi tam czerwona, trochę bajkowa, fabryka czekolady, taka jak ta Charlie’ego. Jest w niej mały sklepik, sprawa pamiątek dla najbliższych – załatwiona. Odkrywam też, że pośród setek identycznych pomników rozsiansych po całej Moskwie są wyjątki, które potrafią zaskoczyć. I tak Gagarin wygląda jak superbohater, a kompleks „Dzieci ofiarami ułomności dorosłych” nie pozwala przejść obok obojętnie. Trzydzieści przerażających, wyrazistych rzeźb symbolizujących ułomności dorosłych otacza dwie, złote figury dzieci bawiących się piłką z zawiązanymi oczami. Ten widok przyciąga tłumy, budzi kontrowersje i daje do myślenia na długo. A więc jednak się da. Obudziła się

we mnie nowa nadzieja, może jednak to miasto ma ludzką twarz. Dopiero pod koniec pobytu znów zaczęłam dostrzegać piękno Moskwy, nauczyłam się swobodnie poruszać po mieście i znalazłam miejsca, w których dobrze się czułam. Zrozumiałam, dlaczego Rita mówiła mi, że celowo nie pokazała mi pomników i muzeów komunizmu. Chciała, żebym dostrzegła w Moskwie Rosję carów, Puszkina i Okudżawy, tę sentymentalną i uduchowioną, nie polityczną. Na koniec, przed wyjazdem, kiedy już osiągnęła swój cel, Rita postanowiła podarować mi „mojego Lenina”. Była tak tajemnicza, że nawet ciotka nie mogła zrozumieć, o co jej chodzi. Okazało się, że na osiedlu na obrzeżach miasta, wśród bloków i krzaków stoi zapomniana, ogromna, niedokończona, odwrócona tyłem głowa wielkiego wodza. Jest tak ukryta, że aby ją dostrzec trzeba po prostu o niej wiedzieć, więc widziało ją pewnie jakieś kilkanaście osób. I jak tu nie kochać Moskwy i mojej ulubionej moskwianki? Dlatego, mimo tych wszystkich sprzeczności w mojej głowie, staram się myśleć o Moskwie pozytywnie. Teraz planuję podróż do Petersburga, może tam łatwiej mi będzie poczuć Rosję, o której czytałam u Nabokova i jaką chciała pokazać mi Rita.



Ano InO*

Piątek wieczór, niektórzy wychodzą z pracy wcześniej, umówieni w pubie z grupą znajomych lub na rozgrywkę squasha z sąsiadem. Z myślą o równie ciekawie zaplanowanym czasie zerkam na swój plecak.

A w nim: latarka i zapas baterii, dużo, dużo ubrań o różnej grubości (niezbędne rękawiczki i czapka), batonik zbożowy i napój energetyczny.

Kierunek: lasy w okolicach Pszczyny.

Start: 20:00.

Koniec? ...tego nie wie nikt.

Natalia Simenka



Ania: We dwójkę przedzieramy się autem przez mroczne okolice Kobióra, kierując się na wioskę niedaleko Pszczyny. Nad okolicą unosi się mleczna mgła,

spod której cudem udaje się wyłuskać kształt drzew. Las otula nas z jednej i drugiej strony. Ciężko uwierzyć, że mamy włączone światła. Upewniamy się kilka razy. Trzykrotnie mylimy uliczkę, w którą powinniśmy skręcić, znajdując się raz po raz w ślepych zaułkach. Za czwartym razem na końcu dróżki pokazuje się białe światło sączące się z okien budynku oznaczonego napisem „BAZA”.

Konrad: Spóźniony, podaję szybko nazwisko i wymyślam naprędce nazwę mojej drużyny, do której dopisuję też Tomka. Biegnę na koniec korytarza, tam, skąd słychać śmiech, rozmowy, szuranie butów. Sala gimnastyczna pełna jest osób w różnym wieku, kolorowych: moro, kolory ziemi, czerwień, niektórzy mają na ubraniach fluorescencyjne paski, które zamieniają ich w bardziej widocznych, kiedy już wszyscy znajdziemy się w lesie. Z trudem przeciskam się między karimatami rozłożonymi w bałaganie na podłodze, znajdując skrawek miejsca dla siebie. Jedząc kanapkę, szykuję sobie miejsce do odpoczynku po nieprzespanej nocy, która właśnie się zaczęła.

Tomek: Rękawiczki, czapka, czołówka, kompas, zegarek ze stoperem, pulsometr, buty do biegania – wysypuję to wszystko z plecaka. W tym samym momencie słyszę chrząknięcie. Na małym podeście stoi już ekipa organizatorów, ubranych na jednolity, czerwony kolor. Nie tracąc czasu na wstęp uświadamiają nas, jakie etapy musimy pokonać. Przekonany, że wszystko zostanie wyjaśnione w późniejszym etapie zawodów słucham zaintrygowany. Okazuje się, że dalszych wyjaśnień nie będzie...

Ania: Z resztą uczestników wbiegamy do autokaru. Poganiają nas, niedługo pora startu. Razem z Natalią ruszamy jako piąte, więc czasu zostało niewiele.

Konrad: Kolejna baza schowana jest już w lesie. Przyjemnie. Pali się ognisko, na drewnianej ławie stoją termosy w gorącą herbatą. Ruszamy jako szósta drużyna. Jesteśmy kolejno wołani do skrajnego punktu bazy. Podpisuję parę papierków i...dostaję pierwszą mapę. Stoję, wyciągam rękę po właściwy fragment. Tomek wybucha śmiechem, gdy dostajemy odpowiedź, że to już wszystko. Odchodzimy na bok, Tomek świeci latarką na dwa cienkie pierścienie z kartki złęczone pod dziwnym kątem, na których narysowane są anemiczne fragmenty terenu: milimetr niebieskiej kreski, parę kropeczek oznaczających rów i czternaście czerwonych okręgów oznaczonych liczbami. Nie ma skali ani żadnego innego ułatwienia, jakie mogłoby nam przyjść do głowy. Obracamy pierścieniami bezradnie. Jeden z organizatorów woła jeszcze, aby nie sugerować się za bardzo tym, co na mapie widzimy, bo niektóre fragmenty są nieprawdziwe lub przekręcone, po czym wyczytuje moje i Tomka nazwisko – komenda do biegu.

Natalia: Po przebiegnięciu na oślep stu metrów zatrzymujemy się pośrodku niczego, okręcając wokół własnej osi. Nie widać bazy, ogniska ani innych uczestników. Jesteśmy same i wygląda na to, że straciłyśmy orientację już po trzech minutach. Zostało nam ich jeszcze około 400. Pękamy ze śmiechu!

Konrad: Dumamy we dwóch nad skrawkiem mapy. Wiemy, że wszędzie wokół biegają po lesie inni, ale słyszymy tylko swoje oddechy i śmiech dziewczyn gdzieś w oddali. Wołamy je po imieniu – od tej pory krążyć będziemy w czwórce.

Tomek: Trzykrotnie zmieniamy koncepcję i po raz trzeci okazuje się, że łądujemy dokładnie w tym samym miejscu. Na zegarek już nawet nie zerkam, postanawiamy biec na oślep, przestając wierzyć, że gdziekolwiek w lesie kryje się jakikolwiek punkt.

Ania: Migają gdzieś daleko światełka czołówek. Ktoś biegnie. Dawno już zeszedliśmy z dróżki, przedzieramy się teraz w dół zbocza, przeskakując co chwilę przez korytko pełne wody, potykając się o kamienie i raniąc łydki i dłonie ostrymi kolcami krzaków. Idziemy po swoich śladach, to jedyny sposób, żeby się nie zgubić. Mgła sprawia, że czujemy się, jakbyśmy zostali całkowicie sami.

Konrad: Wygląda na to, że złapaliśmy trop. Zgłaszam się jako ochotnik, odbiegam spory kawałek od grupy, trzymam równe tempo, aby starczyło mi sił. Widzę mgiełkę swojego oddechu zmieszanego z mroźnym powietrzem. Jeszcze parę metrów i powinienem je zobaczyć... Jest punkt! Do drzewa przyklejona została kartka oznaczona cyfrą i literą. Odchodzi od niej sznur z kolorowym flamastrem. Rozglądam się. Jest kolejny punkt. I jeszcze jeden. Parę kroków dalej nowe. I jeszcze jeszcze. Zliczam wszystkie: osiem. Mapa sugeruje, że każdy z nich jest właściwy. Każda błędna odpowiedź to naliczane punkty karne. Kierując się tylko i wyłącznie intuicją wybieram jeden punkt, niedbale spisuję na kartę jego kod. Zostało nam tylko trzynaście.

Natalia: Wpadamy w trans. Biegniemy, zatrzymujemy się przed oznaczonymi drzewami, kucamy układając na wilgotnej ziemi „mapę” i starając się okręcić oba okręgi tak, aby tworzyły jako-taką całość. Gdy rodzi nam się jakikolwiek pomysł „co dalej”, łapiemy się go jak tonący brzytwy i obieramy odpowiedni kierunek.

Tomek: Kontrolnie sprawdzam czas. Okazuje się, że go praktycznie nie mamy. Etap pierwszy minął w mgnieniu oka. Rozpędzamy się tak, jak to tylko możliwe, a do bazy wpadamy zasapani, z czerwonymi od mrozu i wiatru twarzami. Szybko i sprawnie zostają nam odebrane karty, spisujemy czas. Przy dłuższej, drewnianej ławie siedzi już spora grupka, rozprawiająca o pokonanej trasie. Dostajemy kubek gorącej herbaty i po dużej, sycącej bułce. Dołączamy chętnie do reszty.

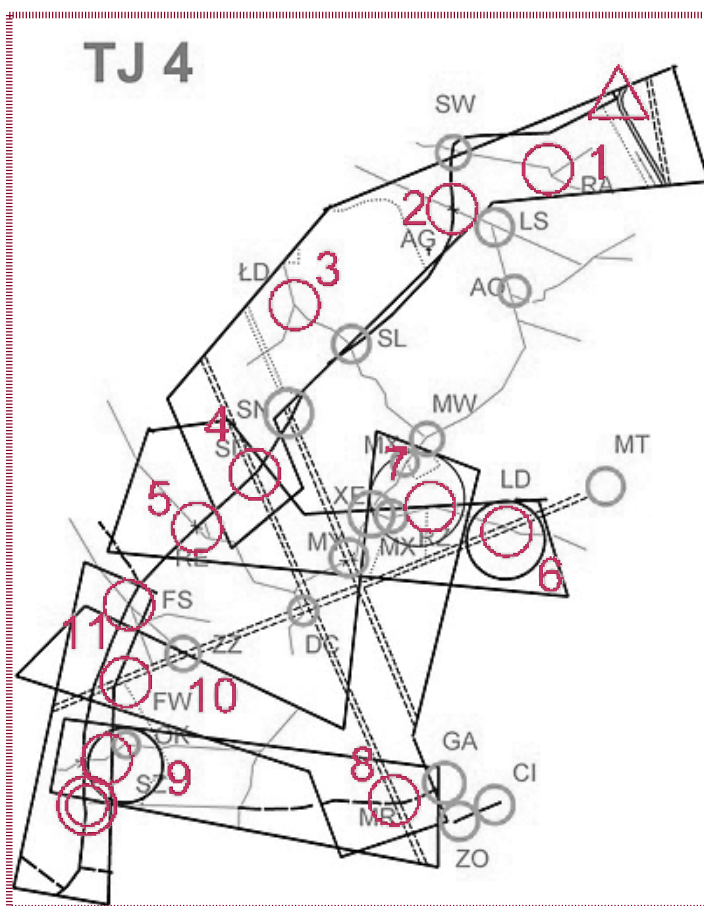
Natalia: Jest druga w nocy, dostaję smsa od znajomego bawiącego się w którymś z katowickich klubów. Aż ciężko mi uwierzyć, że w tym samym momencie, gdy my walczymy z czasem, chłodem i zmęczeniem, inni tańczą, popijając zimne piwo!

Konrad: Szósta nad ranem. Wschodzi słońce. Wykrzesawszy z siebie końcowe pokłady energii dobiegamy do ostatniej bazy. Przetrzęsam plecak w poszukiwaniu napoju, jestem niesamowicie spragniony. Wypakowuję kolejne „mapy” – kubek z mało mówiącymi kreskami powyginanymi w różne kierunki światła, nie nadmuchany balonik z pookręcanym rysunkiem terenu, koszulkę z nadrukowaną mapą. Po omacku natrafiam na swoją karimatę i padam na nią jak długi. Śnią mi się głośne kroki gdzieś na wysokości mojej głowy. Kolejne osoby, wracające umęczone do sali.



Na leśnym obszarze Pszczyny, w Jankowicach oraz Studzienicach, 20 i 21 listopada 2009 r. odbyły się XVIII Mistrzostwa Polski w Nocnych Marszach na Orientację z cyklu InO, czyli Imprez na Orientację. Uczestnicy to grono orientalistów z całej Polski w wieku od 10 do 70 lat.

Skandynawia to ojczyzna biegów na orientację, które w Polsce zdobywają popularność od 50 lat. Polegają na odszukaniu w lesie z pomocą mapy i busoli charakterystycznych miejsc oznaczonych czerwono-białymi lampionami, tzw. punktów. W terenie znajdują się również punkty mylne i tzw. stowarzyszone – podstępnie udające te właściwe. To doskonała rozrywka dla tych, którzy szukają niecodziennych wrażeń, odrobiny adrenaliny i aktywnego wypoczynku dla duszy i ciała.



Mapa-łamigłówka do rozwiązywania przy świetle latarki

▲ Zwycięzcy Mistrzostw, czyli najbardziej zorientowani w terenie



O ALKOHOLU

INACZEJ NIŻ ZWYKLE

Już od paru dni z wielką radością i pompą swe rządy nad światem rozpoczął Nowy 2010 Rok. Wszyscy świeżo w pamięci mamy jeszcze sylwestrowe szaleństwa, a przed nami wspaniały czas i pretekst do legalnego przedłużenia zabawy – karnawał! Pasuje to jak ulał do naszego wizerunku, jaki wykreowało nam społeczeństwo – studenci lubią imprezować i „za kołnierz nie wylewają”.



Mariusz Tomala



Nie ma się co oszukiwać – studenci pili, piją i pewnie pić będą. Jednak nie wszyscy. Wśród akademickiej braci znajdą się ci, którzy nie piją, bo zdrowie im na to nie pozwala, bo zwyczajnie im trunki nie smakują, bądź zabrania im tego religia. Są między nami i tacy, którzy alkoholu nie znoszą, bo odebrał im dzieciństwo, utrudnił

znaczne rany w psychice. To oni – Dorosłe Dzieci Alkoholików (DDA), którym chciałbym poświęcić parę słów. Są wśród nas. Spotykamy ich na co dzień na uczelni, wykładzie, ulicy, imprezie, osiedlu, w akademiku. Właściwie wszędzie. Tyle, że ciężko ich „wyłapać.” Fakt, że pochodzą z rodziny dysfunkcyjnej ukrywają najlepiej jak się da. Często bywają to osoby na zewnątrz radosne, towarzyskie, jednak wewnątrz są przerażone i zamknięte.

Boli

O tym, że dobra, zdrowo kochająca się rodzina jest wspaniałym miejscem rozwoju człowieka, nie trzeba nikogo przekonywać. To właśnie w tej podstawowej komórce społecznej człowiek uczy się wszystkiego. Tu na podstawie obserwacji pierwszych nauczycieli – rodziców budujemy swój „pierwotny” światopogląd, uczymy się, co jest dobre, a co złe, wyrabiamy sobie wzór mężczyzny, kobiety, a później męża, żony, ojca, matki. Rodzina zaspokaja pierwsze potrzeby psychiczne młodego człowieka. Poczucie bycia kochanym, akceptowanym, zauważonym, docenionym. Dobre relacje rodzinne znacznie ułatwiają start życiowy. W przypadku DDA często jest to fałstart. Pozbawieni obecności fizycznej (pije poza domem) lub psychicznej (pijany w domu) rodzica zostają zbywani, ignorowani, niedocenieni w momencie, gdy oczekują od rodziców wsparcia. Ci ludzie często czują się jak niepotrzebny balast, żyją w nieustannej trwodze i niepewności w obawie przed nową awanturą lub ze strachu, bo jest już późno, a mamy/taty dalej nie ma w domu. Są nieufni, wszystkich kontrolują, nikomu nie wierzą. Często przed najbliższą rodziną, znajomymi muszą grać, udawać, że wszystko jest dobrze, wszystkie urazy trzymają w sobie. To magazynowanie negatywnej energii odbija się na ich zdrowiu: bóle brzucha, głowy, nerwica, problemy ze snem czy napady agresji to jedne z najczęstszych objawów tej przypadłości. Nie wspominając już o fizycznych ranach zadanych przez pijanego, agresywnego rodzica.

Wszędzie dobrze, ale w domu niekoniecznie najlepiej

Studenci studiujący w innym mieście po trudach tygodnia bądź tygodni ciągłego pobytu na studiach cieszą się na myśl o powrocie na stare śmieci oznaczającego spokojną regenerację sił i zaopatrzenie w domowy prowiant „na zaś”. Dla DDA powroty do rodzinnego gniazda to często dodatkowe przygnębienie i stres. Czują, że nikt specjalnie na nich nie czeka i nie wiadomo, co tam zastaną. Siłą rzeczy sama myśl o rodzinnych świętach Bożego Narodzenia to zapewne katorga.

Strach

Młodym ludziom, dotkniętym syndromem DDA, dużo trudniej przychodzi budowanie relacji z drugim człowiekiem. Ogromny lęk przed samotnością i odrzuceniem pcha ich często w przypadkowe, krótkotrwałe związki, które albo sami zrywają – z obawy, że zostaną odrzuceni, albo starają się w tych związkach trwać za wszelką cenę, pomimo świadomości zdrady, czy złego traktowania przez partnera. Wszystko po to, by nie zostać samym. Badania prowadzone w tej sprawie pokazują, że wielu spośród tych, którzy wyszli z domów dysfunkcyjnych wiąże się z osobami nadużywającymi lub sami popadają w ten nałóg, a 1/3 małżeństw zawieranych przez nich rozpada się.

Nadzieja

Niewątpliwie wszystkie przedstawione tutaj informacje nastrajają pesymistycznie. Ale na szczęście jest „światło w tunelu”. Ci naznaczeni cierpieniem młodzi ludzie nie są skazani na mękę do końca swych dni. Dynamicznie rozwija się na ten temat nauka. Także media coraz częściej poruszają ten problem. Przy Akademii Ekonomicznej w Katowicach już od wielu lat działa grupa terapeutyczna DDA prowadzona przez doświadczoną psychoterapeutkę, która pozwala przezwyciężyć im traumatyczne wspomnienia z dawnych lat. Dodatkowa pomoc to wydana w tym roku książka pracownika naukowego AE ks. dr-a Grzegorza Poloka pt. „Rozwinąć skrzydła”. W tej publikacji doktor szeroko opisuje problem powołując się na świadectwa Dorosłych Dzieci Alkoholików, podpowiada, jak można przezwyciężyć tę słabość. Właśnie ta szczególna publikacja była inspiracją do powstania tego tekstu.

Konkluzja

I na zakończenie: po co o tym napisałem? Żeby w czasie zabawy i szaleństw skutecznie obrzydzić ci picie? Nie. Byłaby to hipokryzja, bo sam napić się lubię. Tak naprawdę napisałem to po to, by uświadomić Ci, Drogi Czytelniku, jak poważne konsekwencje przynosi NADUŻYWANIE alkoholu, które tak naprawdę może spotkać każdego z nas. W konsekwencji nasze przyszłe rodziny mogą z tego powodu cierpieć, a tego nikt przy zdrowych zmysłach nie chce. A jeżeli czytasz to Ty, który sytuację znasz z własnego doświadczenia, to niech te słowa będą dla Ciebie pierwszą wskazówką na drodze ku „rozwinęciu skrzydeł”.

Jeśli z różnych powodów zaintrygował Cię ten temat i chcesz lepiej poznać

książkę ks Poloka napisz do nas: ngp.redakcja@gmail.com ▲

lub zajrzyj na stronę: www.rozwinacskrzydla.pl ▲

SINGIEL TEŻ CZŁOWIEK, CZYLI...

Kiedy ty wreszcie sobie kogoś znajdziesz?!

Paulina Patrylak



Samotność. Straszna tworga, jak śpiewał Riedel. Bardziej stan duchowy czy fizyczny? Kiedy jesteśmy samotni tak naprawdę? Kiedy nikogo wokół nas nie ma.

Jesteśmy sami ze swymi kłopotami. Mamy wielu znajomych, ale żadnego przyjaciela. Wszyscy chętnie dzielą z nami nasze radości, ale gdy przychodzi do smutków – nagle znikają jak kamfora. Dlaczego więc tak wielu ludzi wybiera dziś samotność? Samotne życie? Brzmi przynębiająco. Bynajmniej nie dla singla. Kim jest singiel? Wszechwiedząca Wikipedia podpowiada mi, że singiel to „potocznie osoba żyjąca samemu, nie mająca partnera życiowego z własnego wyboru, najczęściej po wielu przejściach z innymi partnerami.” Po wielu przejściach? Co za bzdury! Czy złamane serce jest jedynym imperatywem do samotnego życia?! W życiu nie słyszałam czegoś śmiesznieszego. Podobne opinie znalazłam zresztą w Internecie. Posłuchajcie...

Robert, 28 lat, w związku od kilku miesięcy: *Singiel to synonim dzisiejszego egoisty. Może to brutalne, ale prawdziwe. Single nie chcą się wiązać ze strachu, że będą musieli poświęcić komuś więcej swojego życia i wolnego czasu. I będą musieli poświęcić swoje pasje, chociażby rezygnując z siłowni.*

Jarek, 34 lata, singiel: *Bycie singlem to przekleństwo. Wciąż szukam i póki co bez skutku. Już jestem na to za stary. Będzie, co będzie.*

Znalazłam jednak i niezbity dowód na to, że single wcale nie cierpią.

Dorota, 26 lat, singielka: – Dla mnie to najpiękniejszy okres w życiu. Spotykam się z kim chcę, sypiam z kim chcę. To oczywiście okres przejściowy.

Z moich obserwacji wynika, iż takie osoby nie narzekają na powodzenie. Często są to szalenie atrakcyjni ludzie, którzy po prostu z takich czy innych pobudek na razie nie chcą pakować się w stałe związki. Poświęcają się karierze, pasji, nauce. Czy singiel szuka? Zazwyczaj nie. Nie ma czasu na myślenie, czy czegoś mu brak. Żeby nie było – nie zachęcam do spania z kim popadnie, jednak okres, kiedy możesz sobie pozwolić na niezobowiązujące randki, może być naprawdę fajny.

Czy singiel oznacza to samo co „stara panna” i „stary kawaler”? Niekoniecznie. W dzisiejszych czasach znacznie obniża się granica zawierania małżeństw. Kiedy moja babcia wychodziła za dziadka w wieku lat 29, od co najmniej 10 nazywano ją „starą panną”. Przeżyła 60 cudownych lat ze swoim mężem. Czasem warto po prostu poczekać na kogoś, kto będzie nas wart. Poświęcić ten czas na bycie jeszcze lepszym sobą. Bo czy ktoś, kto sam nie czuje się komfortowo, zapewni komfort innej osobie? A jak reaguje otoczenie na singli?! Wierście mi, RÓŻNIE. Bywają głosy podziwu, zdarzają się wyrazy współczucia i politowanie. Dla osób samotnych rodzinne obiady to jedno z najcięższych i najbardziej traumatycznych przeżyć, jakie znają. Wieczne pytania ciotki Adeli, kiedy ty wreszcie wyjdiesz za mąż/ożenisz się? Tudzież troska – ach, dziecko, ależ ty sobie nie umiesz poukładać życia. Niestety, jak na razie świat nie potrafi „przestawić się” i przygotować na wciąż rosnącą liczbę singli. Osobiście poczułam się urażona, gdy w pewne piękne popołudnie postanowiłam wstąpić do kina. Uprzejmy pan w kasie poinformował mnie o „niebywałej promocji”, jaką jest drugi bilet 50 % taniej. Kiedy powiedziałam, iż na seans wybieram się sama, spojrzał na mnie jak spogląda się na małe szczenięta w schronisku, po czym dodał: „Niech się pani nie przejmuję, w końcu

i na panią trafi szczęście...”. Ręce mi dosłownie opadły, uszło ze mnie całe powietrze i zabrakło sił do tłumaczenia, że ja wcale pokrzywdzona się nie czuję. Odwróciłam się zatem na pięcie i grzecznie podziękowałam za promocję. Promocji takich jest niestety więcej. Tak jakby świat liczył ludzi tylko parami. Nie ma jednego człowieka. Jeśli jesteś sam – jesteś niekompletny. Na szczęście od pewnego czasu widzę jakieś pozytywne zmiany. Pojawiają się kursy tańca dla singli, wycieczki z biura podróży dla singli, jednoosobowe pokoje w hotelach przestały być horrendalnie drogie.

Może wreszcie idzie ku lepszemu? Tak naprawdę nigdy nie wiadomo, gdzie i na kogo czeka miłość za rogiem. Czy jutro nie potkniemy się na schodach, a pomoże nam wstać nasz przyszły partner? Nie należy rozpaczliwie szukać, nie należy przejmować się tym, co jest teraz, a cieszyć się, że coś będzie kiedyś lub też... Cieszyć się że to jest ten czas kiedy możemy wszystko i nic nas nie ogranicza. Świat należy do nas i możemy go zdobyć! Choćby tylko po to, by któregoś dnia móc go podzielić z tą drugą osobą.

WSTYD CZY

Będąc w samym sercu Katowic z pewnością nie przeoczysz tego budynku.
187,5 metra długości, 15 kondygnacji nadziemnych i jedna podziemna,
mieszczącą ok. 200 garaży. Jednostka mieszkalna imponujących rozmiarów.

W 762 mieszkaniach może zamieszkać nawet trzy tysiące ludzi.

Jednych zachwyca, drugich przeraża. Co takiego?

Superjednostka.

Paulina Patrylak



Pierwszy taki budynek w Polsce. Jest tak ogromny, że posiada status samodzielnego osiedla. Korytarze mają nawet po 150 metrów długości, a winda zatrzymuje się co trzy piętra. Jeśli wstaniesz odpowiednio wcześniej, z okna możesz dostrzec Tatry. Polecam, niesamo-

wity widok. Podczas pierwszej wizyty w środku radzę mieć oczy dookoła głowy – łatwo się zgubić...

Skąd pomysł na tak dziwny i kolosalny twór? Wszystko jest winą architekta Le Corbusiera, który miłował się w wielkich prostopadłościennych blokach.



Nieśmiałym prekursorem Superjednostki jest... dom dla studentów! A oficjalnie – Dom Szwajcarski. Z myślą o młodych ludziach, architekt umieścił blok na wielkich słupach, dzięki czemu przestrzeń parteru mogła się zazielenić. Trochę większą i sławniejszą „mamą” naszego mrówkowca była Jednostka Marsylska tego samego autora. Nietrudno się domyślić, że i ona stała na żelbetonowych słupach. Czym się wyróżniała? Otóż była w zupełności samowystarczalnym osiedlem. Na środkowym piętrze Corbusier stworzył dwukondygnacyjną ulicę handlową ze sklepami i punktami usługowymi. Dach był pełen atrakcji – oprócz przedszkola, dzieci miały do dyspozycji basen i plac zabaw. Dla dorosłych były: klub, solaria oraz plac gimnastyczny i miejsca spotkań. Cały blok wykonany był w surowym, nieotynkowanym betonie.

Przez kilka lat Superjednostka była największym blokiem mieszkalnym w Polsce, lecz nie pod względem wysokości, a liczby mieszkańców. Ale jak to w życiu bywa, zawsze znajdzie się ktoś lepszy. W 1973 roku oddano do użytku gdański Falowiec, najdłuższy blok w Polsce. Przebił Superjednostkę. W Falowcu o długości 860 metrów mieszka aż cztery tysiące mieszkańców.

DUMA?

| w mieście |

Kiedyś rozchwytywana, jeśli chodzi o mieszkania, dziś jest raczej kątem do chwilowego „pomieszkiwania”. Pokoje wynajmują tu głównie studenci ze względu na świetną lokalizację – centrum miasta, wszędzie blisko. W kwestii standardów mieszkań – każde jest tak samo mikroskopijne, urządzone według jego lokatorów, niestety ze „ślepą” kuchnią i łazienką. Dziś jest „poczekalnią” dla ludzi młodych, którzy intensywnie pracują w międzyczasie, oszczędzając na coś większego.

Z zewnątrz szara, z odpadającym tynkiem, 38-letnia Superjednostka sprawia raczej ponure wrażenie. Większość ludzi, z którymi rozmawiałam na ten temat, jest skłonna usunąć blok z centrum. Jak łatwo można zburzyć historię...? Coś, co przed laty było dumą, niczym dzisiejsze niebosiężne, szklane wieżowce? Czemu dziś się wstydzimy Superjednostki, gdy kiedyś święciła triumfy tytułem „pierwszej w Polsce”, „największej w kraju”? Trudno określić. Być może jest to związane ze zmianą trendów w budownictwie, w architekturze. Szarość i konstrukcja budynku wywołują w społeczeństwie negatywne skojarzenia z PRL-em.

Jakkolwiek jest – należy pamiętać, że ten gigant był kiedyś przesłanką zachodnioeuropejskiej kultury. I będzie, o ile ludzie go nie zburzą, bo jego żelbetonowa konstrukcja przetrwa jeszcze kilkaset lat.



Mistrzowskie Kulinaria Studenckie

Jan Frejowski

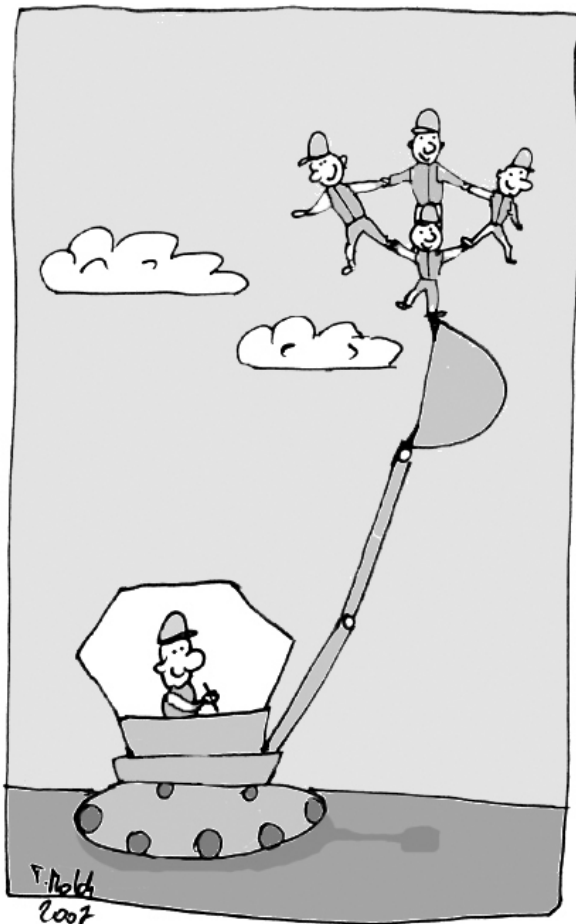
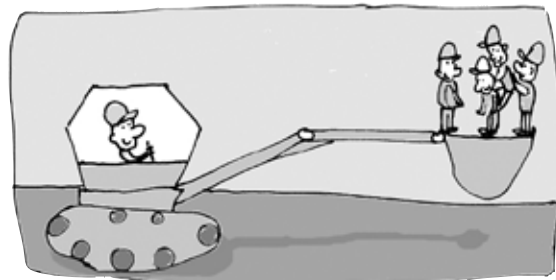
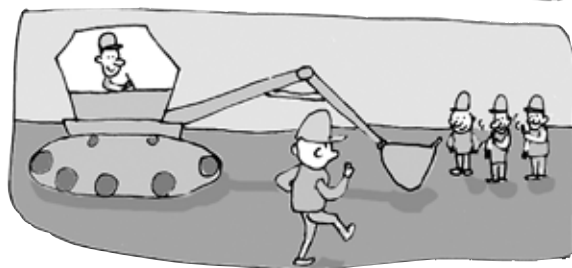


**Jako konserwatysta uważam, że człowiek powinien żywić się niko-
tyną i kawą. Jednak, gdy
człowiek zamożny tylko
intelektem pragnie zjeść
kolację z bliską mu damą,
pojawia się problem.**

Nie każda kobieta pali, a w re-
stauracji stać nas tylko na

napiwek. Stawiamy więc na romantyczną kolację przy świecy w pokoju. Otwieramy lodówkę i w tym właśnie momencie przyda nam się ogromna doza optymizmu, który to kobiety tak bardzo kochają. Założmy, że nasz współlokator posiada oliwę i podstawowe przyprawy, których ubytku nie zauważy. W pobliskim sklepie zaopatrujemy się w cztery produkty, które już po kilku chwilach zmieniają się w orgię smaku. Na przygotowanie tego kulinarnego cuda przeznaczymy mniej niż kosztuje tani drink, a więcej niż piwo w knajpie (6.50 zł/na jedną osobę.) Potrzebne nam będą 2 piersi z kurczaka (ok. 6 zł) które pokroimy w cienkie paski wzdłuż włókien. Ser Brie/Camembert (ok. 3.50 zł), dwa pomidorki (2 zł) oraz bagietka (1.50 zł).

Na patelni podsmażamy paski kurczaka zmieszane z czosnkiem według uznania (smażymy na oliwie, by się nie przypaliło). Czyste naczynia mamy pewnie w deficycie, więc po wykonaniu tej czynności jesteśmy zmuszeni do odkręcenia ręczki patelni. Zarumienionego kurczaka zasypujemy pokrojonymi w plasterki pomidorami oraz serem. Następnie całość posypujemy bazylią i wkładamy do rozgrzanego do 200 stopni piekarnika do czasu aż ser się roztopi (bez plastikowej ręczki). Bagietkę rozrywamy na części, by maczać ją w potrawie w czasie konsumpcji, a talerze które pewnie leżą w zlewie pod innymi naczyniami możemy pominąć, walcząc o patelnię o co lepsze kęski. Doskonałym dodatkiem okaże się wino zakupione przez Waszą oblubienicę po telefonie, który do niej wykonacie (...”Kochanie, mogłabyś? Zapomniałem kupić...”). Będzie to różowe wino. W czasie kolacji niczym sommelier zabawiamy partnerkę opowieścią, dlaczego wybraliśmy akurat ten kolor trunku. (Czerwone pasuje do sera, białe do białego mięsa, co daje nam w połączeniu róż). Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, rano zapalimy jednego z najlepszych papierosów w życiu.



Autorem komiksu jest Tomasz Makuch.
Więcej jego prac znajdziecie na
www.rudakoff.pl



WKREĆ SIĘ!

W piśaniu

... w końcu chodzi o 5 tysięcy...

Taki mamy nakład, a TY przecież – tak stojąc i czytając te słowa – z pewnością stwierdzisz, że czas już najwyższy...

Damy Ci szansę sprawdzenia się, pokazania, a co najważniejsze – tworzenia razem z nami tego czasopisma! Nawet nie myśl o tym, ile czasu możesz czekać na kolejną taką propozycję. Daj się poznać już dziś, napisz do nas!

ngp.redakcja@gmail.com

**Odwiedź nasze forum
i stronę internetową...**

... bo zależy nam na Twojej opinii!

Masz sugestie, pomysły?

Chcesz wyrazić swoją opinię na temat numeru?

Zapraszamy na forum i stronę internetową:

<http://www.ngpkatowice.fora.pl/>

<http://www.ngp.ae.katowice.pl/>

walentynki

S Z Y B K A R A N D K A



wyraż siebie

Wygraj niesamowitą randkę i 2000 zł na zakupy w Silesia City Center!

Zaloguj się na www.eska.pl
i weź udział w zabawie
„szybka randka”!

ZGŁOSZENIA DO KONKURSU:
11.01 – 4.02.2010
KONKURS NA ANTENIE RADIA ESKA:
25.01 – 5.02.2010

FINAŁ: 14.02.2010, godz. 17.00
Silesia City Center, Plac Tropikalny

Gwiazda wieczoru PAULLA!
Wstęp wolny

Regulamin na www.eska.pl i www.silesiacitycenter.com.pl

PARTNER:



Silesia City Center
Katowice, ul. Chorzowska 107

